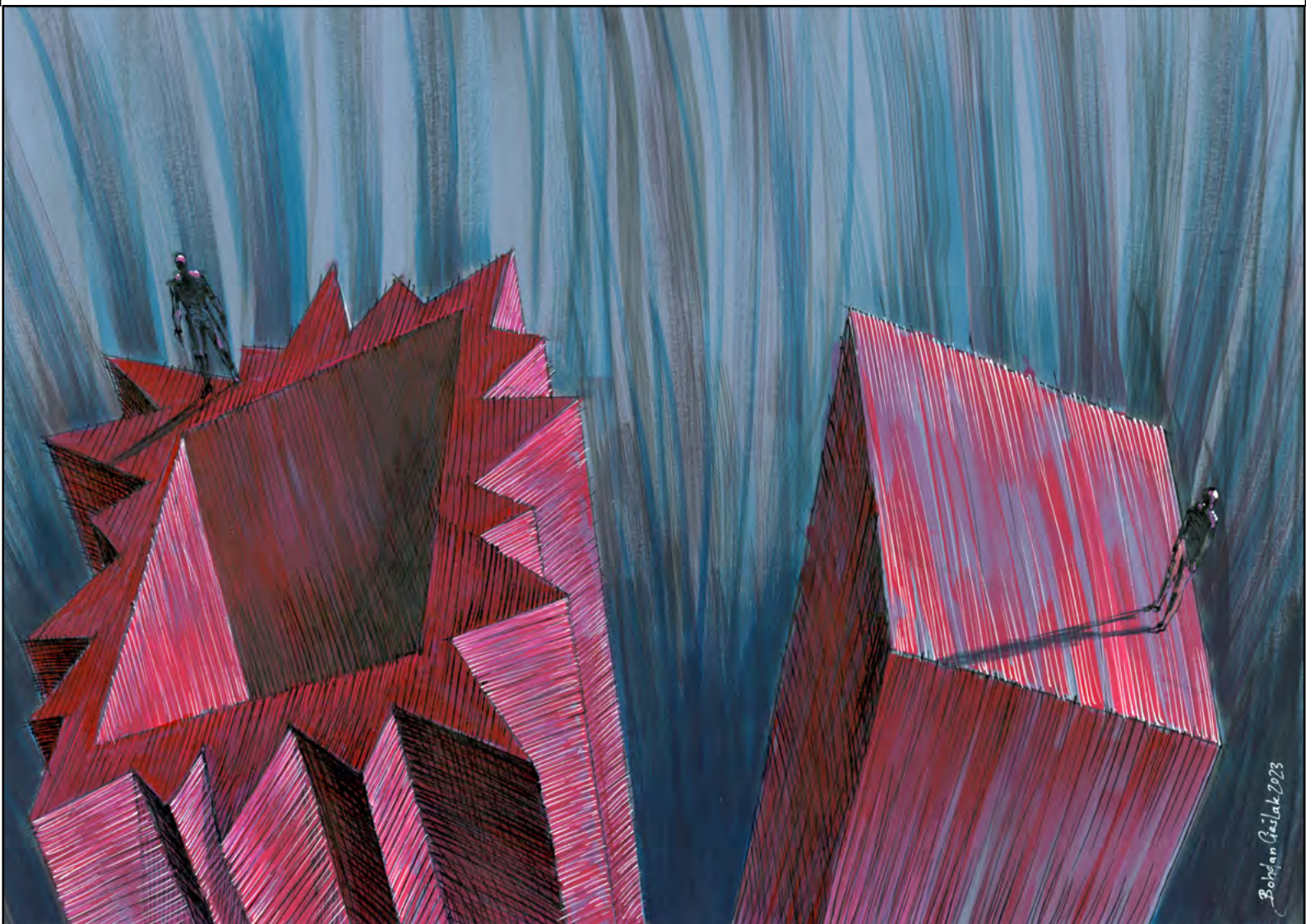




Nr 1/(7)
wiosna - lato
2023
Poznań



PERIODYK LITERACKO - KULTURALNY



Bohdan Gaslak 2023

1. *Od Redakcji...* 2. Nobel w spódnicy - **Małgorzata Jańczak** 3. Bliski Wschód czy... - **Przemysław Kulczak** 4. Welleryzm czyli śladami Klubu Pickwicka - **Adam Wiśniewski** 5. Nocny postój - **Paweł W. Płocienniczak** 6. Poezja - **Janusz Urbaniak, Igor Frender** 7. Borce Panow - **Kalina I. Ziola** 8. M. Olejniczak, M. Lipowska - **Debiuty** 9. Wersy w kontrze... recenzja - **I. Fietkiewicz-Paszek** 10. Na odejście Olka - **Zbigniew Kresowaty** 11. Ceremonia herbaty - **Danuta Zasada** 12. Miłość w Japonii - **Danuta Zasada** 13. Artystyczne penetracje malarskie - **Jakub Godziszewski** 14. Puls Brukseli - **Beata Bednarowska** 15. Poruszające miasto - fotografia - **Wojciech Kempa** 16. Judasz powraca - **Andrzej Mularczyk** 17. Pałac Abzu - **Przemysław Kulczak** 18. Poezja z Ostrowa Wielkopolskiego - **Aleksandra Kielb-Szawuła, Romana Cegielną-Szczuraszek, Paweł Marciszewski, Maciej Pajak** 19. O najmniejszym Wydziale UAM - **Andrzej Sikorski** 20. Muzeum jest trwałą instytucją - **Małgorzata Kropiwnicka** 21. Muzeum mnie - komiks - **Tomek Kontny** 22. Milowy Słup Kultury 23. Trzy książki - **Wydawnictwo Replika** ●Wiersz na (d)okładkę - **Edyta Kulczak**

Wiersz na (d)okładkę:

Pętla

tutaj będzie tekst o pop arcie
o malowankach wycinankach szarych marach białych
artystkach które zrobią filozofią sztuki
kręcący filmik bez stanika lub w stringach
artystach którzy muszą wszystkim się zachwycić
gdy przystali z Londynu lub lepiej New Yorku
i szarych także tłumach o mocno czerwonych ustach
depczących sobie po palcach w dusznej atmosferze blond
oglądających plecy i tył głowy z innymi wspólnie
by wspinać się na palce aby coś zobaczyć:)
lub lepiej by zobaczył ktoś na drugi dzień na fejsie że są
lajki jak znaczki oglądane pod lupą pupą

wtedy jeden poeta, który rzeczywiście zasługuje na uwagę, bo ma do
powiedzenia więcej niż gęganie codzienności, wyszedł niepostrzeżenie
jak w starych książkach, filmach, które dzisiaj odkurza już tylko
profesor zwyczajny

Edyta Kulczak



Otrzymano dofinansowanie z budżetu
Województwa Wielkopolskiego



Redakcja wyraża podziękowanie Autorom za nieodpłatne udostępnienie tekstów
i materiałów ikonograficznych z archiwów prywatnych.

Redakcja zastrzega sobie zmiany redakcyjne w nadesłanych przez autorów
tekstach ze względu na kompozycję i możliwości edytorskie.

Okładka: Bohdan Cieślak, *(bez tytułu) 2023.*

WIELKOPOLSKI WIDNOKRĄG, PERIODYK LITERACKO-KULTURALNY

Redaktor Naczelna: Edyta E. Kulczak, Redakcja graficzna i skład: Witold Zakrzewski.

Stali współpracownicy: Bohdan Cieślak, Małgorzata Jańczak, Zbigniew Ikona Kresowaty,
Przemysław Kulczak, Paweł Władysław Płócienniczak.

Numer 1 (7)/ wiosna-lato 2023. Wszelkie prawa zastrzeżone ©2021-2023.



Oddział Wielkopolski Związku
Literatów Polskich



Drodzy Państwo

A jednak lato przebija się przez chmury i zimny front. A z nim siódmy numer naszego Pisma trafia w Wasze ręce. Wypakowany po brzegi wszelkimi smakowitościami z krainy, w której „Wielkopolski Widnokrag” i jego Czytelnicy czują się najlepiej!

Już okładka autorstwa Bohdana Cieślaka może skłaniać do przemyśleń i służyć do odkrycia kawałka prawdy o świecie i sobie samym. A co dalej? Niezapomniane reportaże napisane wprawnym pisarskim piórem Małgorzaty Jańczak, Danuty Zasady, Pawła Władysława Płócienniczaka; ciekawostki z dziedziny poszukiwań językowych odkrywają przed Państwem Adam Wiśniewski i Przemysław Kulczak. Korespondenci z zagranicy nie szczędzą opisów, opinii i zdjęć. I wreszcie – literatura piękna! Świeżutka poezja i proza wielkopolskich twórców znanych i uznanych, młodziutkich debiutantów z poetyckiej grupy „Poławiacze słów” i szeroka dokumentacja twórczości artystów z Ostrowa Wielkopolskiego. Wielbiciele malarstwa znajdą się w największych muzeach świata, poznają smaczki sztuki i polityki, a entuzjaści rysunku – usłyszą, co piszczy dzisiaj w komiksie polskim!

Czytajcie nas, śledźcie aktualności wielkiego imperium literatury i sztuki niezamkniętego granicami i murami, cieszcie się słowem i odkrywajcie z nami świat. A gdy stęsknicie się za nami w oczekiwaniu na nowy numer „Wielkopolskiego Widnokragu”, zapraszamy zawsze, w dzień i w nocy, na portal Facebookowy i Instagramowy. Tam możecie włączyć się interaktywnie w nasze działania i nieopatrzenie stać się nawet autorami wpisów i notek redakcyjnych. Wiosną i latem prowadzimy śledztwo w sprawie miejsc w Wielkopolsce słynących z pięknych pałaców i zamków... tak oto letni wypad może stać się dla Was atrakcyjną przygodą reportażową lub literacką.

Serdecznie zapraszamy!

Edyta Kulczak



Nobel w spódnicy – Selma Lagerlöf

Małgorzata Jańczak

Od 1901 roku w Sztokholmie, zawsze 10 grudnia odbywa się uroczystość wręczenia nagród Nobla. Od 1902 roku wręcza je król Szwecji. Nagrody są przyznawane w sześciu dziedzinach: fizyki, chemii, fizjologii lub medycyny, literatury, Pokojowa Nagroda Nobla oraz od 1968 roku w ekonomii.

Nic dziwnego, że od wielu lat z niecierpliwością czekam na wiadomość – kto w tym roku otrzymał literackiego Nobla. Tegoroczne oczekiwania skróciłam sobie studiowaniem listy laureatów, właśnie w tej dziedzinie. Kończąc przeglądanie, zaczęłam liczyć. Z prostego rachunku wynika, że od 1901 roku literackim Noblem uhonorowano 104 panów i 16 pań. Dysproporcja jest tak duża, że bez problemu można wyciągnąć wniosek, iż żyliśmy i chyba nadal żyjemy w męskim świecie.

Postanowiłam przybliżyć Państwu owe panie, które wdarły się do tego męskiego świata literatury i to bez ironicznego komentarza – literatura dla kobiet. Panie musiały czekać aż osiem lat, by Szwedzka Akademia Nauk zauważyła pierwszą pisarkę. Stało się tak głównie dlatego, że jej twórczość zdominowała rynek szwedzki i to w wielu kategoriach. Jej powieści czytali wszyscy - i dzieci, i dorośli.

W 1909 roku Noblem została uhonorowana Selma Lagerlöf. Nagrodę przyznano jej: „w hołdzie wielkiemu idealizmowi, błyskotliwej wyobraźni i duchowej przenikliwości, które wyróżniają jej utwory”. Pisarka była wtedy autorką kilku powieści oraz najbardziej poczytnej do dziś „Cudownej podróży”.



*Selma Lagerlöf.
Gabinet w bibliotece domowej.*



Życiową partnerką Selmy Lagerlöf była pisarka Sophie Elkan. Poznała ją w 1895 roku. Żyły razem 25 lat, aż do śmierci Elkan w 1921 roku.

Selma mieszkała wraz z dużą rodziną i licznymi pracownikami w dworze Mårbacka. Anna Marciniakówna – tłumaczka i specjalistka od literatury skandynawskiej twierdzi, że „od dziecka towarzyszyły przyszłej pisarce różnego rodzaju opowieści w postaci legend i baśni ludowych, tradycyjnych sag skandynawskich i przypowieści biblijnych. Kluczową rolę w przekazywaniu tych historii i pobudzaniu wyobraźni dziecka odegrała babcia oraz pochodząca z ludu służba”.

Selma jako dziecko zachorowała na paraliż dziecięcy i przez długi czas nie wstawała z łóżka, właściwie ten łózkowy czas jest źródłem jej pisarstwa. Jednak choroba pozostawiła po sobie ślady. Selma poważnie utykała. Nie przeszkodziło jej to jednak w zdobywaniu wiedzy. W latach 1882-85 uczyła się w Sztokholmie w kolegium nauczycielskim.

Pierwszą jej wydaną książką była powieść „Gösta Berling”, ukazała się w 1891 roku. Jest to historia księdza pozbawionego stanowiska za alkoholizm i nieodpowiednie zachowanie. Powieść odniosła znaczący sukces, ale poza granicami Szwecji. Pisarka przeżyła duże rozczarowanie z powodu niezrozumienia utworu i złych recenzji w kraju. W tym samym czasie umiera jej ojciec i Lagerlöf musi sprzedać rodzinny dworek. Anna Marciniakówna o pierwszej powieści Selmy pisze: „na temat powieści, w Szwecji rozlegały się nawet takie głosy, że nie wiadomo, co to jest, że całość nie tworzy spójnej opowieści, że jest to garść historii, które dopiero można by rozwinąć. Książkę nazwano realizmem fantastycznym, co brzmi jak zarzut. Natomiast w Danii ta książka miała ogromne powodzenie i zachwycała”.

Dzięki odniesionemu, temu zagranicznemu, sukcesowi wydawniczemu w 1895 roku, w wieku 37 lat Selma całkowicie oddaje się pisarstwu. Za zarobione pieniądze odbyła kilka dalekich podróży. Jak na owe lata dla kobiety, w dodatku mało sprawnej, było to duże wyzwanie. Po pierwsze – jeździła bez męskiej eskorty, a po drugie – ograniczało ją kalectwo, no i po trzecie – we wszystkich wyjazdach towarzyszyła jej życiowa partnerka pisarka Sophie Elkan. Razem przeżyły 25 lat.

Podróże zaowocowały powieściami. Po pobycie na Sycylii, w 1897 roku Selma publikuje powieść „Dziwy Antychrysta”, przedstawia w niej specyficzne podejście sycylijczyków do katolicyzmu. Natomiast powstały w latach 1901-1902 epos „Jerozolima” jest wynikiem pobytu w Egipcie i Palestynie. To tam spotkała szwedzkich chłopów, którzy wyjechali z rodzinnego kraju do Ziemi Świętej, by oczekiwać zmartwychwstania Jezusa. Szczególnie po „Jerozolimie” została doceniona nie tylko przez czytelników, ale i krytyków w swoim kraju.

Czas na jej najpopularniejsze i najczęściej tłumaczone pisarskie dokonanie. W latach 1906-1907 Selma napisała „Cudowną podróż”. Powieść zyskała niezwykłą popularność wśród dzieci. Czytelnicy dzięki niej szybko zapoznawali się z geografiami Szwecji, legendami i folklorem różnych regionów. Dzięki tej powieści pisarka i jej latający na gęsi bohater trafili nawet na szwedzkie banknoty.

Wszystkie te sukcesy i niezwykła popularność spowodowały, że w 1909 roku Selma Lagerlöf została uhonorowana Nagrodą Nobla.

Pieniądze z nagrody umożliwiły jej odkupienie dworu utraconego przed laty, który teraz już do końca życia był jej siedzibą. Nobel nie przeszkodził Selmie w twórczości, po nagrodzie napisała jeszcze: „Legendy Chrystusowe”, „Ojczyznie Liljekrony”, „Mårbacka” i „Tętniące serce”. Również po Noblu rozpoczęła współpracę, z rodzącą się na jej oczach, kinematografią. Pisarka podpisała umowę z AB Svenska Biografteatern, w której godziła się na adaptację jednej książki rocznie. Już w 1917 roku powstała „Tösen från Stormyrtorpet” w reżyserii Victora Sjöströma. Kolejnym był „Skarb rodu Arne” z 1919 roku, potem „Synowie Ingmara” i „Furman śmierci”. W 1924 roku w filmie „Gdy zmysły grają”, opartym na podstawie jej książki „Gösta Berling”, wydana w 1905 roku debiutowała Greta Garbo. Rok później na podstawie książki „Tętniące serce” powstaje „Wieża kłamstw”.



Selma Lagerlöf na szwedzkim banknocie, na odwrocie gęsi z „Cudownej podróży”.

Oczywiście najczęściej filmowana była „Cudowna podróż”. O jej wersje animowane pokusili się nawet Rosjanie i Japończycy. W Polsce film po raz pierwszy był emitowany w 1988 roku w kinach. Emisji telewizyjnej „Cudowna podróż” doczekała się z niemieckim dubbingiem i polskim lektorem, a zatytułowano ją „Wspaniała podróż Nilsa Holgerssona”.

Selma Lagerlöf przez całe życie bardzo angażowała się w walkę o prawa wyborcze kobiet. W latach trzydziestych XX wieku protestowała również przeciwko prześladowaniu Żydów w Niemczech, a w czasie wojny fińsko-radzieckiej wysłała swój medal noblowski rządowi Finlandii, aby pomóc mu w zdobyciu pieniędzy na walkę z wojskami radzieckimi. Rząd fiński był tak wzruszony tym gestem, że po odparciu wroga, postanowił razem z podziękowaniem zwrócić medal Noblistce.



Greta Garbo i Lars Hanson w scenie z filmu „Gdy zmysły grają”

Selma Lagerlöf, by chronić odzyskany dom i sprawnie zarządzać dość dużym majątkiem założyła Fundację Mårbacka. W domu utworzone zostało muzeum. Wszystkie przychody przeznaczane są na utrzymanie obiektu. W 1972 roku zarząd fundacji zdecydował o ufundowaniu Nagrody Mårbacka. Nagroda przyznawana jest co dwa lata. Pierwszym laureatem została Tove Jansson, fińska pisarka i malarka. Znana jest najbardziej jako autorka ilustrowanych przez siebie „Muminków”.

Malgorzata Jańczak





Bliski Wschód czy Daleki Zachód?

Przemysław Kulczak

Czy to możliwe, że dwa zupełnie przeciwieństwa mogą być jednym i tym samym? Czy to możliwe, że to, co jest po jednej stronie, leży jednocześnie po drugiej stronie? Problem ten poruszał już dawno temu w trawie Aleksander Wat. Nie wiadomo, o co mu wtedy chodziło, ale z przekonaniem utrzymywał, że patrzy na siebie w lustrze, za które przyjął w swej głowie osobliwy sprzęt gospodarstwa domowego. „Ja z jednej strony i ja z drugiej strony mego mopsożelaznego piecyka...” - pisał.

Tak, to wszystko jest możliwe. Iberia, którą dziś się zajmujemy jest zarówno z jednej strony, jak i z drugiej strony mopsożelaznego piecyka. Niestety, do pełni szczęścia brakuje tylko jednej rzeczy: lokalizacji samego piecyka. Nikt bowiem nie ma do dziś pojęcia, gdzie on się znajduje...

Jakkolwiek Hiszpania i Portugalia kojarzą się pod wieloma względami z pojęciem Zachodu, w tym artykule, posługując się etymologią iberyjskich nazw geograficznych, postaramy się pokazać, że być może powinna jeszcze bardziej kojarzyć się z pojęciem Wschodu. Zaczynamy. Od razu warto zaznaczyć, że etymologia wielu, a właściwie wszystkich przytoczonych poniżej nazw do dziś pozostaje niejasna. Nie przeszkadza to jednak zagłębić się w oceanie hipotez i prawdopodobnych rozwiązań, jakie przynosi posiadana obecnie wiedza.

Faktem jest, że mnóstwo nazw hiszpańskich miejscowości pochodzi z języka fenickiego. Przypomnijmy, że mowa o mowie z gałęzi języków semickich, czyli takich, do których należą na przykład hebrajski i arabski. Najpowszechniej uważa się, że „Hiszpania” pochodzi właśnie od Fenicjan i oznacza albo „kraj, gdzie wykuwa się metale”, albo „kraj królików” (fen. I-Shpanya). Podobno sam Strabon, grecki historyk i geograf, nazywał Hiszpanię „krajem królików”, a rzymskie monety wybijane w tamtym regionie za czasów panowania Hadriana miały na sobie wizerunek kobiety z królikiem u stóp. Inne hipotezy głoszą, że „Hiszpania” zrodziła się z greckiego pojęcia Hesperia, czyli „kraj zachodzącego słońca”, albo powstała z baskijskiego słowa Ezpanna, czyli „krawędź, granica”, albo też wyewoluowała z iberyjskiego Hispalis, „miasto zachodniego świata”. „Portugalia”, tymczasem, wydaje się prostsza, bo jest prawdopodobnie mieszanką rzymsko-celtyckiego pochodzenia w postaci Portus Cale (pierwotna nazwa dzisiejszego Porto), gdzie portus jest „portem” łacińskim, a cale – „portem” celtyckim, podobnie jak irlandzkie caladh „port”. A przecież język irlandzki pochodzi z rodziny języków celtyckich.

To dopiero wierzchołek góry lodowej. Przejdźmy do nazw prowincji. Z pewnością sporo osób zorientowało się już, że „Andaluzja” wzięła się z arabskiego al-Andalus, którym to pojęciem Arabowie określali cały Półwysep Iberyjski (al-Andalus może się z kolei wywodzić od „Wandalów”), a znany turystyczny region na południu Portugalii, czyli Algarve zaczerpnął nazwę od arabskiego al-gharb, czyli „zachód”. W ten sposób całą południową Iberię Arabowie nazywali Gharb Al-Andalus. To dość znane fakty, ale jeszcze więcej jest tych mniej

znanych. Z uwagi na dużą liczbę arabskich nazw w Hiszpanii i Portugalii warto przypomnieć, że Kalifat Umajjadów napadł na Królestwo Wizygotów na początku VIII wieku i do okolic roku 780 opanował niemal całą, dotychczas podzieloną Iberię, ścierając na proch Wizygotów i, o ironio, jednocząc wreszcie Półwysep. Umajjadzdy kalifowie posunęli się tak daleko, jak tylko mogli: zaatakowali nawet Septymanię, czyli krainę historyczną na południu Francji, nad Morzem Śródziemnym, napadając w ten sposób na Galię. Już do 719 roku zdobyta została Barcelona i Narbona. Arabowie zapuszczali się nawet mocno w głąb dzisiejszej Francji: do Carcassonne, Tuluzy, Avignon, czy Lyonu. Zapewne niewiele brakowało, a zdobyliby także Marsylię i Paryż. Podobnie niewiele, co Mongołom, by opanować całą Europę.

Sukcesy oraz podboje realizuje się jednak krok po kroku. Żeby zawładnąć Europą, należało najpierw zawładnąć Hiszpanią, a żeby zawładnąć Hiszpanią, należało przekroczyć pewną andaluzyjską rzekę, która przepływa przez Kordobę i Sewillę, a zwie się Gwadalkiwir (hiszp. Guadalquivir). Tak właśnie ochrzcili ją (jeśli można tak rzec z przymrużeniem oka) Arabowie: al- wādī l-kabīr „duża rzeka”. Lecz to nie jedyna taka rzeka. Była też Gwadiana (hiszp. Guadiana), stanowiąca dziś część granicy portugalsko-hiszpańskiej, którą Rzymianie zwykli kiedyś nazywać „rzeką kaczek” – Flumen Anas. Muzułmanie przekształcili to na swoją modłę – Wadi Ana, gdzie wādī oznacza „rzekę”. A stąd wzięła się Ouadiana i finalnie – Gwadiana.

Podobny rodowód ma rzeka Guadalete, czyli Wadi Lakath („rzeka roztargnienia” lub „rzeka zapomnienia”), rzeka Guadarrama, czyli wādī-r-raml („rzeka piasków”) oraz rzeka Guadalupe, czyli wādī al-lubb („ukryta rzeka”). Wróćmy jednak do samych początków niebywale ciekawej arabskiej przeszłości Iberii. W 711 roku berberyjski dowódca Tāriq ibn Ziyād (Tarik, syn Zijada), będący na służbie Kalifatu Umajjadów, poprowadził arabską armię przez Cieśninę Gibraltarską z wybrzeży Afryki Północnej do przyczółku na Półwyspie Iberyjskim.

Stoczył tam kilka bitew z Wizygotami i zbierał siły pod pewną skałą, którą na jego cześć nazwano później Jabal Tāriq (arab. „Góra Tarika”, czyt. „Dżabal Tarik”) albo Gibr al-Tāriq, czyli „Skała Tarika”. Znajome, prawda? Tak, to właśnie dzisiejszy Gibraltar. Nieopodal Gibraltaru opanowany został również słynny z czasów napoleońskich oraz zwybudowanej tam później latarni morskiej Przylądek Trafalgar, czyli Taraf al-Ghar (arab. „przylądek wawrzynu”) bądź Taraf al-Gharb (arab. „przylądek zachodni”). Co ciekawe, już w lato 712 roku arabski generał Musa ibn Nusayr (Musa, syn Nusajra) podbił Sewillę, którą wkrótce utracił, by odzyskać ją rok później, w lato 713, jego syn, czyli Abd al-Aziz ibn Musa (Abd al-Aziz, syn Musy; imię „Abd al-`Azīz” oznacza w języku arabskim „sługę Wszechmogącego”, gdzie `abd to „sługa, niewolnik”, a `Azīz to „Wszechmogący”, czyli jedno z imion Allaha). I tak Sewilla w 715 roku stała się stolicą arabskiego Al-Andalus, a już rok później, w 716, na wiele wieków oddała to miano Kordobie. Kordoba zaś, w X i XI wieku była jednym z najwspanialszych miast na świecie, wielkim ośrodkiem kulturalnym, politycznym i finansowym.

Jeżeli mowa o Sewilli (hiszp. Sevilla), to musimy wrócić do Fenicjan, gdyż najstarsza znana nazwa tego miasta była pochodzenia fenickiego i brzmiała Hisbaal, co odnosiło się do boga Baala. Jako inną możliwość podaje się również fenickie Spal, czyli „nizinę”, arabskiego krewniaka słowa asfal „dół, dno, stopa”. W czasach rzymskich nazwa miasta przyjęła zlatynizowaną formę Hispal, a później Hispalis, natomiast po inwazji Umajjadów zamieniła się w nieco podobne Iṣbīliya. Analogiczny przebieg mogła posiadać wspomniana wcześniej Kordoba lub Córdoba, choć tu zdania są bardziej podzielone. Nie wiadomo, czy nazwę rzeczywiście nadał jej kartagiński generał Humilcar Barca jako qart Juba, czyli „miasto Juby”, dowódcy pochodzącego z północnoafrykańskiej Numidii, który zginął w bitwie nieopodal miasta, czy może nazwa miasta wywodzi się od fenicko-punickiego qart Tūbah, oznaczają-

cego „dobre miasto”. Tak czy siak, za czasów rzymskich nazwa zlatynizowała się w Corduba, a po muzułmańskich podbojach przekształciła się w Qurtubah.

Skoro sama nazwa Hiszpanii wzięła się od Fenicjan, wypada się spodziewać, że nie będzie to ich jedyny sukces na Półwyspie Iberyjskim. Prawda, ich dziedzictwo w tamtym regionie świata do dziś pozostaje zauważalne gołym okiem. Przyczynili się oni do powstania licznych miast i kolonii w basenie Morza Śródziemnego w pierwszym tysiącleciu przed naszą erą. Na przykład na południowym wybrzeżu Hiszpanii założyli kolonię Málaka, która przetrwała panowanie arabskie jako Mālaqah i dotrwała do dziś jako Malaga (hiszp. Málaga).

Fenicjanie założyli także przyczółek Gadir bądź Agadir („ściana, mur, bastion, forteca, twierdza”; zaskakujące, że nazwę tę zapożyczyli Berberowie, czyli lud z Północnej Afryki i dziś wiele miejscowości w tamtym regionie nosi nazwę Agadir, z których najbardziej znany jest marokański atlantycki kurort Agadir). W języku łacińskim miasto znane było jako Gādēs, a za Arabów przeobraziło się w Qādis, i tak powstał hiszpański Cádiz, czyli Kadyks. Długą drogę muszą niekiedy pokonać nazwy, by dotrzeć do nas w takiej postaci, w jakiej je znamy... Podobnych przykładów jest więcej. Jedno miasto Grecy i Rzymianie zwali Caesaraugusta, ale Arabowie uprościli je w Saraqusta, dzięki czemu Hiszpanie otrzymali je jako Zaragoza (nasza „Saragossa”).

Kilka podmadryckich wsi w 1326 roku zjednoczyło się w miasteczko leżące przy głównej drodze łączącej Madryt z Toledo. Nazwali się Xatafi od arabskiego słowa jata „coś długiego”, zapewne nawiązując do rzeczonyj trasy, a z czasem wyewoluowali w Getafe. A skoro już mowa o stolicy Hiszpanii, to arabskie słowo mağrà „strumień wody” albo majrit „źródło, fontanna” pod wpływem łaciny łatwo mogło się przekształcić w Magerit, a w konsekwencji – w Madrid, czyli fortecę założoną przez Muhammada I, emira z Kordoby w drugiej połowie IX wieku. Początkowo Madryt był właśnie cytadelą górującą nad rzeką Manzanares i jedną z wielu tego rodzaju twierdz wzniesionych wzdłuż granic Al-Andalus oraz królestw León i Kastylii w celu ochrony miasta Toledo przed atakami Chrześcijan oraz jako dogodna baza wypadowa dla kolejnych muzułmańskich podbojów.

Bardzo możliwe, że niektóre nazwy miast w hiszpańskiej Katalonii również pochodzą od Fenicjan. Mówi się, że na wybrzeżu założyli miejscowość Tarqon lub Tarchon, co oznaczało „cytadelę”. Taka nazwa Tarragony, bo o niej mowa, miałyby wynikać z usytuowania miasta na wysokiej skale górującej nad morzem. Przy tej okazji warto wspomnieć, że Kartagina – starożytne miasto-państwo leżące na terenie dzisiejszej Tunezji, a później stolica Imperium Kartagińskiego, o którym to uczymy się w szkołach – również została założona przez Fenicjan (w IX wieku p.n.e.). I wielcy kartagińscy politycy czy dowódcy również mieli swój udział w nadawaniu nazw na dzisiejszej hiszpańskiej ziemi. Jest choćby Cartagena, która wywodzi się od kartagińskiego Qart Hadasht, co w języku fenickim znaczyło „nowe miasto”. Ciekawe, że wiele wieków później Hiszpanie zanieśli w swych morskich podbojach to kartagińsko-fenicjskie bądź arabskie dziedzictwo na inne kontynenty i dziś jedno z największych miast w Kolumbii nazywa się Cartagena de Indias, a pewna meksykańska metropolia to Guadalajara – arab. wādī al-hajārah „dolina kamienia” lub „dolina fortecy”.

Są też oczywiście nazwy o genezie łacińskiej. Oryginalna nazwa Walencji (hiszp. Valencia) brzmiała „Valentia” i oznaczała „siłę, odwagę, bohaterstwo, waleczność”, choć później muzułmanie nazywali ją Medina at-Tarab („miasto radości”) lub Medina at-Turab („miasto

piasków”) lub po prostu Balansiyya. Mérida wywodzi się od łacińskiego Emerita, co oznaczało „weterana, kogoś w stanie spoczynku”. Tam bowiem mieli się osiedlać rzymscy weterani. Pewną hiszpańską krainę zapewne gęsto porastały mirty, czyli, jak podaje słownik PWN, „krzewy o zimotrwałych, wonnych liściach”, skoro nazwano ją myrtea albo murtea – „kraina mirtu”. A może była to morwa, a więc murtae? Tak czy owak, gdy już przybyli Arabowie, w 825 roku założyli miasto Madinat Mursiyah, czyli dzisiejsze „miasto Murcia”. A uczynił to niejaki ówczesny emir Kordoby: Abd ar-Rahman II („sługa Miłosiernego”). Wróćmy do arabskich źródeł. Nie jest pewne, czy nazwa Ġarnāta, oznaczająca prawdopodobnie „wzgórze obcych” lub „wzgórze pielgrzymów” stanowi tę najbardziej pierwotną, ale już słynny zabytek Granady, a więc Alhambra – piękny czerwonawy pałac-twierdza położony na wzgórzu ponad miastem – to oryginalnie z pewnością al-Hamrā’ „czerwony” albo Qal’at al-Hamrā’ „czerwona twierdza”. Czerwonawa barwa ścian bierze się podobno od tlenku żelaza obecnego w glinie używanej w budownictwie w tamtym regionie. Warownię tę wznoszono przez wiele lat w XIII wieku, potem rozbudowywano aż do XIV wieku, a do 1492 roku służyła za siedzibę emirów Granady. W czasie rekonkwisty była ostatnim bastionem Arabów w Hiszpanii, a potem doskonale sprawdziła się jako więzienie. Można wymieniać bardzo długo. Nadmorska Almería zapewne nie bez powodu była wśród Arabów znana jako Madīnat al-Mariyya, czyli „miasto wieży strażniczej”. Albacete pochodzi najprawdopodobniej od arabskiego Al-Basīt „równina”. Algeciras w pobliżu Gibraltaru to dawne al-Jazīrah al-Khahrā’, czyli „zielona wyspa”, z czego Al-Jazīra(t) dało Hiszpanom współczesną nazwę. Al-laqant nawiązywało do łacińskiego Lucentum i greckiego korzenia Leuka, czyli „biały” i w ten sposób imię otrzymał słynny wakacyjny kurort Alicante. Niewiele mniej popularna portugalska miejscowość wypoczynkowa, Albufeira, zaczerpnęła nazwę od al-Buḥayra „laguna”. Almadén, hiszpańska miejscowość znana z wydobywania rtęci, wzięła się od al-ma’din „metal”. Portugalska Fátima to znowu arabskie imię kobiece Fātimah. Oryginalna Fatima była córką proroka Mahometa, a ta, od której wzięła się nazwa miasta to mauretańska księżniczka, uprowadzona według tradycyjnej opowieści przez rycerza Gonçalo Hermiguesa i jego towarzyszy. Zabytkowa dzielnica Lizbony, Alfama, wywodzi się od arabskiego al-hamma, czyli hammam - „gorące źródła, łaźnie”. Jest też al-mudawwar „okrągłe miejsce”, a więc Almodóvar: zarówno nazwisko, jak i kilka miejscowości iberyjskich. Z kolei Alcántara to al-qantara „most”. Nawet miasto Valladolid może pochodzić z arabskiego jako Balad al-Walid, czyli „miasto al-Walida”, co odnosiłoby się do Al-Walida I, szóstego kalifa umajjadzkiego.

Czymże zatem jest Iberia? Czymże są Hiszpania i Portugalia? Krainą, gdzie zachodzi słońce, czy też lądem, gdzie słońce wschodzi? A może jednym i drugim? Czy naprawdę niektóre rzeczy muszą być tak uciążliwie względne i skomplikowane? A może właśnie dzięki temu są one bogate i różnorodne? Odpowiedź pozostawiam otwartą dla czytelników.





Adam Wiśniewski

WELLERYZM, czyli śladami Klubu Pickwicka

I.

Co na temat **welleryzmu** dowiemy się - z bodaj najbogatszego źródła wiedzy o świecie, jakim jest Internet? Tyle, co nie! W jego encyklopedycznych zasobach natknąłem się na jedną (sic!) jednozdaniową, ubogą próbę zdefiniowania terminu welleryzm skoncentrowaną wyłącznie na jego ogólnej formie, bez śladu odniesienia do jego genezy, istoty, cech(y) i funkcji społecznej. Definicji pojęcia welleryzm nie znalazłem także na kartach dostępnych mi w domowej bibliotece podręcznych słownikach, choć zakładam, że w niejednym jest on zapewne - w pełni bądź w części, zdefiniowany, mniej lub bardziej trafnie. I ma to miejsce w kraju, w którym filologów, a w szczególności paremiologów nie brakuje!

Oto jedyne znalezione w sieci objaśnienie tego terminu.

„**Welleryzm** - chwyt pisarski polegający na posługiwaniu się wymyślonymi cytatami, które przypisuje się znanym albo też wymyślonym postaciom”. (za portalem SJP i edefinicje.pl). Definicja ta nie wyraża istoty tego typu literackiej wypowiedzi. Wstyd!

Próbkę sprecyzowania pojęcia **welleryzmu** znalazłem w pracy „Komizm polskich i francuskich zdań cytowanych. Analiza semantyczna, stylistyczna i pragmatyczna” Magdaleny Lipińskiej (Łódź, 2016 r. s. 171-174, dostępna w portalu 9lib.org). Pozwoliłem sobie zacytować jej fragment: „Termin **welleryzm** pochodzi od Sama Wellera, jednego z bohaterów „Klubu Pickwicka” Karola Dickensa. Weller, postać komiczna, znany jest ze swoich dygresji. Przytacza on słowa osoby wypowiadającej je w podobnej do danej sytuacji, np. „*Co się stało, to się nie odstanie i to jest jedyna pociecha*”, *jak zawsze mawiają Turcy, gdy przez pomyłkę utną głowę niewinnemu*”, „*Nie, nie, po kolei*”, *jak mówił mistrz Jan Wiesidełko do dżentelmenów, których miał wieszać*”. Ten inteligentny czyściciel butów, a potem wierny służący pana Pickwicka był mistrzem tego typu wypowiedzi.

„Pojęcie **welleryzm** obejmuje dwa bliskie sobie znaczenia. Pierwsze z nich to nadużywanie cytatów sentencyjnych lub przysłów. Drugi zaś sens tego określenia, wchodzący w zakres paremiologii, odnosi się do wypowiedzi ośmieszających przysłowia. Ich forma jest następująca: *znane zdanie lub utarty zwrot + jak mawiał (powiedział) X + komiczny kontekst*.

Po raz pierwszy nazwy **welleryzm**, określającej pewien typ przysłów popularnych w literaturze (i nie tylko! - A.W.) greckiej użył w 1876 roku profesor literatury klasycznej Uniwersytetu Berlińskiego Moritz Haupt, komentując fragment z Teokryta (D. Świerczyńska: 1974). Termin ten przyjął się we Włoszech (Corso: 1947–1948), w Polsce i we Francji (Arnold van Gennepe: 1933-1934), natomiast w Hiszpanii i w Niemczech funkcjonują inne określenia: dialogismos paremiologicos (dialog paremiologiczny) oraz Beispielssprichwort (przysłowie oparte na przykładzie), Apologisches Sprichwort, Sagwort (przysłowie, powiedzenie apologiczne)”.

Archer Taylor, profesor Uniwersytetu w Berkeley, wybitny paremiolog do przysłów włącza: cliches (zwroty utarte), priamel, blason populaire (terminy i zwroty symbolizujące lub charakteryzujące narody, kraje i ich przedstawicieli) oraz **welleryzmy**, pełne humoru Welle-

rowskie powiedzenia w rodzaju:

„*Wszystko jest dobre, co się dobrze kończy*” - rzekł paw, spoglądając na swój ogon”;
 „*Karzę ją dobrymi słowami*” - jak powiedział mąż, ciskając Biblię w swoją małżonkę”.

Cechą tej odmiany welleryzmu (autor odróżnia kilka typów) jest ich dwuczłonowy układ, przy którym całość wywołuje efekt komiczny przez niestosowne zestawienie poważnej sentencji z jakimś nieoczekiwanym zgoła obrazem lub czynem.

Według Archera Taylora pochodzenie welleryzmów jest zazwyczaj trudne lub niemożliwe do ustalenia.

Zdaniem wielu paremiologów (Wolfgang Mieder, Archer Taylor) tego typu wypowiedzi znane były już w starożytnej Grecji (Teokryt, Platon); w języku starosumeryjskim, a także w Biblii hebrajskiej. W jednej z bajek Ezopa czytamy:

„*Jakiż pył wzbijam, powiedziała mucha, siedząca na kole od wozu*”.

Specjalną bibliografię dołączył Taylor do artykułu o welleryzmach; można by do niej obecnie dodać jeszcze jedną ważną pozycję: pracę Karola Speroni o welleryzmach włoskich do końca XVII w., która się ukazała dwa lata po wydaniu 22 t. słownika (źródło: Biblioteka Cyfrowa Polskiego Związku Ludoznawczego, Recenzje i sprawozdania / LUD 1956 t.43).

„Komizm, często sardoniczny, okazuje się cechą definicyjną welleryzmu, podkreśloną formalnie, ponieważ odpowiedzialna zań jest zazwyczaj ostatnia część zdania opisująca kontekst użycia cytatu. Specyfika welleryzmu polega na zastąpieniu charakteru normatywnego, definicyjnego przysłowia, intencją ludyczną i komiczną.

W interesującym opracowaniu welleryzmów irlandzkich *Wellerisms in Ireland* (2002), Fionnuala Carson Williams charakteryzuje komizm tych zdań jako ironiczny.

Wśród mechanizmów humoru wyróżnia: gry słowne, kalambury (szczególnie w niedawno powstałych welleryzmach), nieporozumienia wynikające z błędnego tłumaczenia z innych języków oraz takie środki stylistyczne, jak: aliteracje, powtórzenia rym i kontrast; te dwa ostatnie często sąsiadujące ze sobą”- pisze M. Lipińska. To czyni te miniteksty małymi arcydziełami. Autorka podkreśla podobieństwo konstrukcji welleryzmu do struktury dowcipu, którego pierwsza część jest cytatem. Ten ostatni stanowi tło dla opisu osoby wypowiadającej go i dla przedstawionej sytuacji. Zarówno postać, jak i okoliczności mają znamiona absurdu i pojawiają się w drugiej części żartu zawierającej humorystyczną pointę”. Poprzez to często przyjmują formę bon motu.

Arnold van Gennep, francuski etnograf i folklorysta podkreśla, że typowy **welleryzm** ma zawsze charakter tradycyjny i ludowy, a nie mieszczański lub intelektualny.

Friedrich Lorentz w „Zarysie etnografii” (Lorentz 1934:112) określa je jako „przysłowia przykładowe”. Zdaniem van Gennepa (1933: 215) w Niemczech, Anglii oraz w krajach skandynawskich odnotowano ich tysiące, w przeciwieństwie do Francji, gdzie nie jest ich więcej niż około stu. Ze względu na zbyt finezyjną i wysublimowaną formę oraz typ absurdalnego humoru welleryzm niemożliwy jest do właściwego odczytania przez niedorośłego i niekompetentnego odbiorcę, podkreśla prof. Wiesław Olkusz. „Echa welleryzmu przejawiają się w przysłowiu „*Trafił swój na swego, mówił diabeł do węglarza*” (NKP, t. III, s. 48), może być powszechnie znany wariant obecny u Porazińskiej: „*Trafiła kosa na kamień*” (s. 78), a w przysłowiu „*Im dalej, tym gorzej, jak powiedziała baba lecąc ze schodów*” (NKP, t. I, s.) - „*Im dalej w las, tym więcej drzew*” (s. 26). Choć i to podobieństwo wydaje się odległe. Wszystko zależy od sytuacji i schematu interpretacyjnego”. (Źródło: Kto mi dał skrzydła...”O życiu i działalności Janiny Porazińskiej. Bożena Olszewska Uniwersytet Opolski, Studia i Monografie, Nr 510, Opole 2014).

„**Welleryzm** - pisze J. Pomierska, ma charakterystyczną kompozycję, jest to wypowiedź (nierzadko nawet przysłowie, częściej utarte powiedzenie albo znany cytat) włożona w usta jakiejś konkretnej osoby lub osadzona w określonych okolicznościach, co daje zaskakujący, najczęściej dowcipny efekt, pisze autorka i jako przykład wskazuje welleryzmy, w których przysłowie jest komponentem jednego, a nawet dwóch przysłów:

- *Dużo krzyku, mało wełny - mówił diabeł strzygąc owcę.*
- *Trafił swój na swego, rzekł diabeł do kowala (do kominiarza),* zaznaczając, że w wielu językach, zwłaszcza w Afryce powstają welleryzmy ze zwierzętami, jako mówcami”. Podkreślić należy, że przysłowia dialogowe, o których mówi F. Lorentz w odróżnieniu od welleryzmów zawierają mowę więcej niż jednego mówcy.

Na istotny kontekst użycia **welleryzmu** wskazuje Łucja Brzozowska w pracy „Zadziwiający losy wyrazów” (Gdańsk, wyd. poczytne.pl, 2015, s. 55-56), pisząc: „Często wyłuszczać swoje racje lub chcąc przekonać słuchacza do swego punktu widzenia, zsyłamy się na jakieś autorytety, na słowa kogoś mądrego czy też powszechnie uznanego za mądrego. Przytaczamy słowa pisarzy, polityków, postaci historycznych, ludzi, będących autorytetem moralnym. Wypowiadając nawet najbardziej oczywistą prawdę, „odpieramy się” czyimś sądem na ten temat. Mówimy: jak powiedział X, i zdaje się nam (a może i słuchaczom), że to, co mówimy, jest mądrzejsze, głębsze. Przy okazji siebie też możemy tą jednomyślnością dowartościować”. Czytelniczcy - kontynuuje autorka, którzy pamiętają prasę radziecką, nieraz się pewnie zżymali, znajdując w wielu artykułach - jak powiedział towarzysz Chruszczow, Lenin, Breżniew czy jakiś inny aktualnie ważny towarzysz. Zwrotem „jak powiedział” posługujemy się nie tylko w wypadkach, gdy chcemy powiedzieć coś mądrego, wzruszającego, ale i dla żartu.” W szczególności dla żartu, należałoby podkreślić!

„W literaturze istnieje chwyt pisarski zwany welleryzmem, który nie ma nic wspólnego [...] z autentycznymi cytatami wybitnych ludzi”, stwierdza autorka, zaprzeczając temu w kolejnym zdaniu: „Welleryzm najczęściej(sic!) posługuje się wymyślonymi „cytatami”, które przypisuje znanym albo też wymyślonym postaciom. A więc nie tylko nimi! Co więcej, zasadne jest domniemanie, że do czasów narodzin postaci Sama Wellera podstawowym komponentem większości z nich było przysłowie właściwe (mające formę zamkniętą w postaci zdań prostych i złożonych) i zwrot przysłowiowy (mający formę otwartą niebędącą zdaniem, wymagającą uzupełnienia o podmiot), często w postaci porównania, np. głupi jak but, ciągnie diabła za ogon, noga stołowa, baran itp. tudzież maksymę, której brak pierwiastka Przysłowia, nawet w postaci jednego zdania, wprowadzają jakieś sytuacje międzyludzkie, które są typowe i wskutek tego tak zrozumiałe, iż można je rozwinąć w obrazki czy obrazy literackie, równie dobrze w humoreski i facecje, obrazowo-alegorycznego. (Piermakow 1972, s. 35; Krzyżanowski 1980, s. 42).

Prof. Krzyżanowski welleryzmy określa jako zabawne powiedzenia przypisywane ludziom, zwierzętom lub rzeczom. Przysłowia te odznaczają się specyficzną konstrukcją, której istotę stanowi wyciąganie wniosków z sytuacji, w której znalazł się bohater przysłowia. Wiele cegiełek do budowy welleryzmów znaleźć można w dziele Samuela Adalberga: „Księga przysłów, przypowieści i wyrażeń przysłowiowych polskich z 1894 r.”

II.

„Wśród przysłów właściwych wyróżnia się kilka typów: welleryzmy, priamele oraz przysłowia dialogowe (Świerczyńska 1974) i łańcuszkowe (Krzyżanowski 1980), odnotowuje

prof. Violetta Wróblewska. Welleryzm - pisze, składa się z przysłowia właściwego lub wyrażenia przysłowiowego (tzw. dictum), włożonego w usta jakiejś postaci stereotypowej lub symbolicznej (tzw. persona). Wypowiadany jest w konkretnym kontekście sytuacyjnym (tzw. factum); (Szpila 2003, s. 78), do którego zacytowane przysłowie zdaje się nie pasować. Efekt welleryzmu polega na zaskakującym kontraście między treścią tzw. dictum oraz factum, czyli okolicznościami, w którym ta wypowiedź jest użyta. Welleryzm ma charakter humorystyczny, wydobywa paradoksalność przysłów.

We współczesnej paremiologii - pisze Stanisław Prędotą dominuje przekonanie, że istnieją dwa typy welleryzmów: ludowe oraz literackie. Wszystkie welleryzmy ludowe są oryginalne. Ich tematyka dotyczy zwykłych, prostych ludzi oraz ich banalnych codziennych spraw. W welleryzmach tego typu bystry obserwator komentuje znane mu środowisko i sposoby zachowania przeciętnych ludzi mających różnorakie słabości, ułomności i wady. Ulubionymi obiektami krytyki są przede wszystkim chłopi, rzemieślnicy i adwokaci. Uderza fakt, że welleryzmy nie oszczędzają również osób duchownych, a więc zarówno księży, jak i pastorów. odnosi się to także do ludzi ułomnych i upośledzonych: niewidomych, głuchych, garbatych, kulawych, zezowatych oraz chorych psychicznie. Przejaskrawione, ale najczęściej trafne uwagi obserwatora świadczą o tym, że jego dar obserwacji jest krytyczny i zabarwiony kpina. Istnieją liczne welleryzmy, które mają charakter satyryczny i dzięki temu pełnią pośrednio funkcję wychowawczą”.

W wypadku **welleryzmów** ludowych - pisze Stanisław Prędotą, dominuje nie efekt satyryczny lecz komiczny. „Cechuje je specyficzna forma humoru: niekiedy jest on dowcipny, a czasami raczej mało wybredny, grubiański, głównie ze względu na preferowanie seksualności i obsceniczności. Nierzadko mamy tutaj także do czynienia z grą słów jako puentą, natomiast welleryzmy literackie, np. „Jedz więcej jabłek, mówi reklama. Beze mnie. Adam i Ewa zostali za to ukarani” nie są wytworami ludzi prostych, lecz intelektualistów.

Ich tematyka wykracza jednak poza banalne codzienne sprawy zwykłych zjadaczy chleba, [...] traktują najczęściej o problemach poważnych, istotnych dla społeczeństwa. Z reguły unikają trywialnych banałów, a także prymitywnej obsceniczności i wulgarności. Są przeważnie zabawne, a często mają również zabarwienie ironiczne. Powstają ad hoc i można przypuszczać, że okażą się jedynie efemerydami. Najstarszy zachowany niderlandzki welleryzm zapisano już w XV-wiecznych Proverbia Communia. Brzmi: To jest zła woda, powiedziała czapla, i nie umiała pływać. (źródło: S. Prędotą, Problemy Frazeologii Europejskiej, Oficyna Wydawnicza LEKSEM, Łask, 2015; Uniwersytet Wrocławski, Nowe Welleryzmy Niderlandzkie.).

O komizmie przysłów - i nie tylko, bardzo ciekawie pisze Magdalena Lipińska z Instytutu Romanistyki UŁ w opracowaniu: Prototyp polskiego przysłowia komicznego w rozumieniu młodzieży z początku XXI wieku. Rozprawy Komisji Językowej ŁTN, t. LXIV, 2017. Pozwolę sobie na obszernie przytoczenie jej spostrzeżeń:

„Pojęcie komizmu słownego jest rozumiane jako świadoma próba wywołania u odbiorcy wesołości przy użyciu środków lingwistycznych. Współczesne teorie wyróżniają, oprócz komizmu słownego, komizm sytuacyjny, komizm gestów, charakterów, zwyczajów i powtórzeń. Humor zaś, jako jedna z postaci komizmu sensu largo (stanowiącego kategorię estetyczną określającą właściwości zjawisk zdolnych wywołać śmiech oraz okoliczności, w jakich dochodzi do powstania tej reakcji), pojmowany jest jako dyspozycja psychiczna zarówno nadawcy, jak i odbiorcy przekazu, polegająca na ujmowaniu zjawisk zewnętrznych w kategoriach komizmu.”

Nie można oddzielić humoru od komizmu. Humor stanowi pewną formę komizmu, chociaż nie każdy przejaw komizmu musi być humorystyczny. Bohdan Dziemidok wyróżnia komizm humorystyczny (momenty aprobaty równoważą w nim lub nawet przeważają nad momentami negacji) i komizm niehumorystyczny (dezaprobujący). Wśród technik wywoływania komizmu umieszcza on: ironię, dowcip, żart, karykaturowanie, parodiowanie, groteskowość, trawestowanie. Sarkazm, to „ironia wyjątkowo złośliwa” pisze, a humor absurdalny to forma komizmu „operująca nonsensami i niedorzecznościami” (Dziemidok, 1967, s. 91-93, 106).

Za Jerzym Ziomkiem autorka przyjmuje odróżnienie komizmu - środka językowego lub cechy literackiej, od śmieszności cechującej rzeczywistość.

Rym i rytm, sprawiają, że łatwiej przysłowia i jego odmiany się zapamiętuje. Ważną rolę odgrywa też „dobór słów”: „komiczne związki wyrazowe”, gry słów, słownictwo nacechowane archaicznie, emocjonalnie (wyrażenia dosadne), potocznie, wulgaryzmy lub neologizmy, skojarzenia, czyli konotacje słów.

„Wyróżniono następujące mechanizmy komizmu: sprzeczności (zestawienie słów na pozór przeciwstawnych, cech - np. zobaczył niewidomy), sytuacje irracjonalne, zaskakujące zakończenia, absurdalność, paradoksy, ujmowanie powagi osobom lub sytuacjom, szydzenie z rzeczywistości, ironia, sarkazm, komizm sytuacyjny i komizm postaci.

- *Do widzenia, powiedział ślepiec. - Do usłyszenia powiedział głuchy.*

- *Widzisz ten piękny widok, powiedział ślepy. - Posłuchaj śpiewu ptaków, powiedział głuchy.*

- *Chodźmy szybciej, jak powiedział inwalida na wózku.*

Niektóre cytaty, również zgodnie z matrycą welleryzmu, były zmodyfikowanymi paremiami, na przykład:

Jak pościelisz, tak się wyśpi, jak powiedziała Kowalska, wkładając szpilkę do łóżka teściowej.
Pieniądze szczęścia nie dają, jak powiedziała bezrobotna żona wypłacając pieniądze z konta męża.

O ile w przypadku welleryzmów komizm stanowi cechę definicyjną, to inne rodzaje przysłów nie były w dotychczasowych badaniach paremiologicznych definiowane jako komiczne. Uwarunkowania komizmu występują w różnych konfiguracjach, dla których podstawę stanowią cechy definicyjne tych zdań i różnego rodzaju kontrasty. Komiczne przysłowie prototypowe nie pokrywa się z wyodrębnionym, najłatwiej tworzonym typem paremii humorystycznej, to jest welleryzmem. Łatwość opanowania schematu formalnego welleryzmu nie jest więc równoznaczna z popularnością tego wariantu przysłowia, łączącego charakter generyczny cytatu z epizodycznością sytuacji jego użycia. W analizowanym sondażu ten typ paremii okazał się popularniejszy niż Priamel - konkluduje autorka.

Stanisław Prędoła pisze: Welleryzmy literackie z reguły unikają trywialnych banałów, a także prymitywnej obsceniczności i wulgarności. Są przeważnie zabawne, a często ironiczne. Powstają ad hoc zachowując swoją tradycyjną formę. W większości przypadków mają trójczłonową strukturę jak tradycyjne welleryzmy ludowe. Posługują się więc dictum, persona i factum. „Pod względem swej tematyki welleryzmy literackie są niezwykle innowacyjne. Mamy tutaj do czynienia z całkowicie nowymi welleryzmami, a nie z parodiami już istniejących welleryzmów ludowych. Welleryzmy te odnoszą się z reguły do aktualnych i istotnych problemów współczesnego społeczeństwa. W przeciwieństwie do welleryzmów ludowych występują tutaj wyłącznie osoby, które pochodzą z wyższych warstw społecznych.

Sytuacje, w których zachodzą te welleryzmy, są typowe dla wyższych i dobrze sytuowanych kręgów i środowisk współczesnego społeczeństwa. Pełnią głównie funkcję krytyczną.

Welleryzmy są rzadko spotykane w takich językach, jak polski, francuski, włoski i hiszpański, w przeciwieństwie do języków germańskich” (ibidem). Zdaniem Arnolda van Gennepa w Niemczech, Anglii oraz w krajach skandynawskich odnotowano ich tysiące, w przeciwieństwie do Francji, gdzie nie jest ich więcej niż około stu. Najobszerniejszy leksykon welleryzmów angielskich obejmuje zaledwie 1516 pozycji”.

III.

We współczesnych welleryzmach literackich coraz częściej widać usilny zabieg o rym - istotny dla jego przyswojenia, stąd większość z nich przypomina mi nieporadne, nieskładne dziecięce rymowanki. Welleryzmem tym brakuje szyku - subtelnej ironii, mądrej satyry, oryginalności spojrzenia, twórczej, błyskotliwej puenty, a w szczególności umiejętności wpisania w czas i miejsce akcji - kontekst sytuacyjny, bez którego staje się pozbawioną polotu pospolitą rymowanką. Usilna chęć zachowania klasycznej formy przez użycie w każdym literackim welleryzmie powtarzającej się formuły: „jak powiedział” zubaża jego formę i kieruje ich twórców na manowce. Rzecz ma się zupełnie inaczej, kiedy welleryzm wtopiony jest w życie, które wnikliwie czyta i przewrotnie je puentuje - podobnie jak aforyzm. Wystarczy obserwacja elit, w szczególności politycznych, by zaprzestać budowania własnej „studni”. Tam surowca - „życiodajnej wody” jest bez bezmiar: sodowej, ognistej, święconej. Ewenementem jawi się istnienie welleryzmów zawierających tak oryginalne dictum, które z czasem staje się przysłowiem. Kontekst sytuacyjny (tzw. factum) welleryzmu nie raz czyni z niego wysokiej klasy *bon mot*. Najbardziej cenioną przeze mnie formą welleryzmu jest ta, w której podstawowym komponentem - dictum jest przysłowie (zwrot przysłowiowy, wyrażenie przysłowiowe) bądź autentyczna wypowiedź konkretnej - historycznej bądź współczesnej postaci.

W twórczości S. J. Leca napotkałem wiele aforyzmów opartych na przysłowiu i jego pochodnych. Oto kilka z nich:

Pogrozę mu tylko palcem - rzekł, kładąc go na cynglu.

Nie zabijaj - rzekł - gdy masz się kim wyręczyć.

Głowa do góry - rzekł kat zarzucając stryczek.

Mamy wszystkiego dość - rzekli obywatele. Oznaka dobrobytu?

Nie opuszczajcie rąk - wołają ci, co krzyczeli: „Ręce do góry!”

Wiele z jego aforyzmów z łatwością daje się przekształcić w welleryzm np.:

Sezamie, otwórz się - ja chcę wyjść!

Wyzysk człowieka przez człowieka? A więc ludzki.

„Niech żyje” - jest zaledwie okrzykiem tolerancji.

Diabeł nie śpi. Z byle kim.

Gdy woda sięga ust, głowa do góry!

Na początku było Słowo - a na końcu Frazes.

Biedny człowieku, mówisz: „Po mnie potop” i pociągasz jedynie za spluczkę rezerwuaru.

W Trylogii Sienkiewicza również znajdujemy welleryzmy, które najczęściej wygłasza imć pan Zagłoba. Są to zwykle fałszywe cytaty, popularne przysłowia lub powiedzenia, które mówca przypisuje najbardziej niespodziewanym autorom.

W „Ogniem i mieczem” znajdujemy:

- „*Filozofowie mówią, że kot powinien być łowny, a chłop mowny*”.

W „Potopie”:

- „*Pan Jezus powiedział tak: Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie*”,

- „*Gdzie ojca nie ma, tam Pismo mówi, wuja słuchał będziesz*”.

Uwielbiał zabawy językiem poeta Julian Tuwim. Wśród różnych żartów językowych zostawił nam również sporo welleryzmów. Przytraczam kilka z nich:

- *Proszę siadać, oto fotel, jak powiedział Arystotel.*
- *Tylko mi nie marudź długo, jak powiedział Wiktor Hugo.*
- *Bo co kozioł, to nie koza, jak powiedział B. Spinoza.*
- *Zabierz się do jakiejś pracy, jak powiedział Flak Horacy.*
- *Każdy woli własne kąty, jak rzekł cesarz Kryspin Piąty.*
- *Nazbyt często się upijasz, jak rzekł prorok Jeremiasz.*
- *Zaraz widać, żeś pan frajer, jak powiedział K. Tetmajer.*
- *Buw zdrow, a w kińci pomer, jak powiedział stary Homer.*

Dowcip tego ostatniego welleryzmu polega również na przypisywaniu Homerowi znajomości języka ukraińskiego.

Pora na aforyzmy niderlandzkie przytoczone przez Stanisława Prędotę w cyt. wyżej książce: *Lepiej zawrócić w połowie drogi niż zupełnie zabłądzić - powiedział Jeroen - i mijając kościół poszedł do burdelu;*

To jest prawdziwa węgorzycza - powiedziała Marijtje - i trzymała swego męża za środkowy palec;

Nie lubię takiego stempla - powiedziała Grietje - widząc jak piętnują złodzieja.

Krowa się ociełiła, powiedział Hos-Jans, gdy mu przynieśli rentę.

Wyłącz, powiedział Has Heb, i w czasie mszy telewizyjnej zaczęli zbierać na składkę. Kobiety za kierownicą, to krew na ścianie, powiedział szofer, i spowodował już dziesiąty wypadek.

Kobiety zawsze patrzą w lusterko, powiedział policjant, tylko nie wtedy, gdy cofają.

Znaj swe prawo, powiedział Holender, w przeciwnym razie każą ci dmuchać.

Jestem przeciw kobietom za kierownicą, powiedział pijany Staf na przyjęciu, i żona musiała zawieźć go do domu.

A poniżej współczesne **welleryzmy** utworzone przez Fonsa Jansena i przez Joza le Bruyna, które Stanisław Prędotę odnalazł w Internecie.

Ja odprawiam twarzą do wiernych, powiedział ksiądz, a kościół był pusty. Jeśli po tym życiu nie będzie nic, powiedział pastor, to po tym nie będę o tym zrzędził. Nie chcę być ciężarem dla nikogo, powiedział samobójca, i wywołał u każdego poczucie winy.

Chcę, żeby mnie oceniano wyłącznie na podstawie moich osiągnięć, powiedział małżonek i zrobił swej żonie dziecko. Wszystko co mam, zapisuję w testamencie sierocińcowi, powiedział umierający, i zostawił po sobie dwanaścioro dzieci. Inwestowanie jest dobre dla zatrudnienia, powiedział przedsiębiorca, i kupił sto robotów. Polityka mnie nie interesuje, powiedział artysta, i poprosił o subwencję. Nieużywanie przemocy jest najpiękniejsze, powiedział kardynał, i spożywał obiadokolację z dyktatorem. Trzymaj się wiary, powiedział pastor do topielca, i wszedł na ambonę. Gdzie jest pragnienie, tam musi być cycek, powiedział prosiaczek, i nazwał to instynktem.

Jak francuski mieszczanin, zacny pan Jourdain, nie wiedział, że mówi prozą, tak ja dopiero po zgłębieniu tego pojęcia skonstatowałem, że i ja tą - i zbliżoną do niej formą wypowiedzi, nierzadko się posługuję. Eureka!

Oto kilka przykładów (oryginalnych i ad hoc przez mnie zmodyfikowanych):

Jeden taki powiedział: „Cogito ergo sum”, a wszyscy odnieśli to do siebie.

Gość w dom, Bóg w dom, powiedział Kowalski witając Szatana.

X. maczał w tym palce na pewno, powiedział Y. widząc, jak je oblizuje.

Jak powiedział Napoleon, kiedy chcesz komuś przysolić - nie pieprz!
Nie oddam ani guzika, powiedział Rydz Śmigły oddając wrogowi płaszcz.
Karły reakcji - powiedział pan Curie, obserwując enzymy.
Spiesz się powoli, radził Casanova, pędząc do alkowy.
Jak zwykł mówić Twardowski, wszystkie drogi prowadzą do Rzymu.
Jak stwierdziła Greta Tunberg, kominy płacowe zatruwają nam klimat.
Uczciwi winni nosić głowy wysoko; łatwiej będzie mieć ich na oku.
Ostatni będą pierwszymi - do zwolnienia, powiedział szef korpuludkom.
Kobiety trzeba trzymać krótko, powiedział Romeo, splatając dłonie w warkoczach Julii.
Jak powiedział Juliusz Cezar: „Przyszedłem, zobaczyłem, zawróciłem”.
Zdaniem Bożewicza z dwojga złego dżentelmen zawsze wybiera rewolwer.
Nieźle z niego ziółko, powiedział Bonifrat Donald, widząc laur na głowie Mateusza.
Powiedziano nam: „Czyńcie sobie Ziemię poddaną”. No to sprowadziliśmy ją do parteru!
Jak powiedział Balcerowicz - „Cała władza w ręce Rad nadzorczych” .
Kadry decydują o wszystkim, powiedział Lenin, wielki miłośnik kina akcji.
Nie czarujmy się, powiedział do lustra jasnowidz Jackowski.
Wszystkie drogi prowadzą do lombardu, jak powiedział imć Glapiński.
Kiedy prawda staje naga - rzekła piękna dama, zdolny malarz pędzel wyjmując z rozporka.
Jak powiedział wilk z Wall Street, pokorne cieleś ssie dwa portfele.
Nie czas żałować rózu, gdy nie płoną lica, powiedział senior do seniority.
Kto wcześniej wstaje, temu staje, powiedział Boryna do don Juana.
Nie wszystkie pielęgniarce w czepku się urodziły, jak mawiała akuszerka.
Eskimosi mają miłość w nosie, powiedział zdumiony pan Centkiewicz.
Jak powiedział da Vinci, ośmiogodzinny dzień pracy nie dotyczy myślenia.
Darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby, pouczył Trojan Parys.
Nad życie kocham zwierzęta, rzekł koledze Nowak, wchodząc na zebkę.
Dzień dobry! - przywitał kret kreta.
Mówią, że bieda uczy, a nikt nie chce być mądry, powiedział Sam, udając się do kasyna.
Ciągnie wilka przyrodzenie do lasu, powiedział eunuch spiesząc do haremu.
Nie wywołuj wilka z lasu, powiedział do żony Janusz idący na grzyby.
Po nitce dojdę do kłębka, rzekła mucha uwięziona w pajęczej sieci.
I dzisiaj młoda koza przychodzi do woza, rzekł Casanova w Lamborghini.
Zawsze dawałem się złapać na gorącym uczynku, zwierzał się zimny drań.
Jak powiedział Newton, im więcej kobieta ma na głowie, tym więcej jej mąż w pasie.
Jak powiedział Salomon, najwięcej złotych rybek żyje na bezrybiu.
Proście a będzie wam dane, powiedział ojciec Rydzyk i poprosił o datki.
Jak mawiał Don Corleone, by się zrehabilitować, trzeba się czasem ześwinić.
Na koniec unikalny welleryzm utworzony z fraszki mojego Mistrza Lecha Konopińskiego:
I wilk był syty i owca cała, ale juhasa wieś nie ujrzała, spuentował wypas baca.

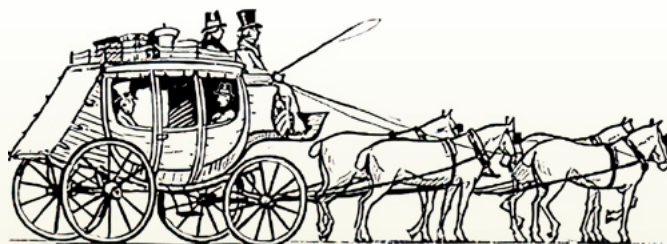
Więcej informacji w języku polskim na temat welleryzmów zawartych jest w opracowaniach Dobrosławy Świerczyńskiej, Juliana Krzyżanowskiego, Wojciecha Chlebdy, Grzegorza Szpili, Magdaleny Lipińskiej, Józefa Sypnickiego, Stanisława Prędoty, Magdaleny Lipińskiej i innych.



Adam Wiśniewski

Paweł Władysław Płócienniczak

Nocny postój. Fryderyk Chopin w Krotoszynie.



Był rok 1829. Miasteczko w Księstwie Poznańskim, którego namiestnikiem z tytułu koneksji pruskich był książę Antoni Henryk Radziwiłł, właściciel pobliskiego Antonina i mieszczącego się tam oryginalnego pałacu myśliwskiego. Wspominamy go, ponieważ jeden z wątków naszej historii prowadzi do osoby księcia.

Krotoszyn był częścią latyfundiów księcia bawarskiego Maximiliana Karola von Thurn und Taxis. Tej właśnie rodzinie zawdzięczamy powstanie w Europie i rozwój nowoczesnej poczty, co również jest nie bez znaczenia dla naszej opowieści.

Miasteczko słynęło w regionie nie tylko z solidnych rzemieślników, warsztatów płóciennych, gorzelnii i browarów, ale także rzetelnych kupców, wielkich jarmarków krotoszyńskich i nowoczesnej poczty. Po prostu było to jedno z tych wielkopolskich miasteczek, gdzie ceniono ciężką pracę, uczciwość i gdzie dużo później, podobnie jak w całej Wielkopolsce, wykuwano podstawy pracy organicznej.

Niedaleko krotoszyńskiego pałacu księcia Thurn und Taxis - i z jego decyzji - już w 1829 roku zbudowano z niemałym rozmachem spory zespół budynków pocztowych. Główny z nich był piętrowy ze spadzistym dachem. Z frontu miał wielką bramę pośrodku, z lewej i prawej strony otoczony był oficynami, a podwórzec zamykały duże stajnie. Jak na tamte czasy, całość była niezwykle reprezentacyjna i okazała. Z przekazów wiadomo, że poczmistrzem był Kazimierz Ptak, rodem z pobliskiego Baszkowa. Dodajmy, że jego potomkowie służyli na tamtejszej poczcie jeszcze do XX wieku. Główna trasa, jaką obsługiwała krotoszyńska stacja, wiodła od Wrocławia do Warszawy, ale należy przypuszczać, że była przedłużeniem relacji zaczynającej się w Wiedniu. Na początku XIX wieku dyliżanse pocztowe były najdroższym i najszybszym sposobem przemieszczania się ludzi i zapewniały zaskakująco krótkie terminy dostarczania przesyłek. Wspomniane zalety były jednak okupione niewygodą i spartańskimi warunkami ówczesnych podróży. Pociągą dla podróżnych były stacje poczty konnej usytuowane co kilkadziesiąt kilometrów, ale nie wszystkie były tak dobrze przygotowane, jak ta w Krotoszynie.

W książce „Chopin na traktach Wielkopolski Południowej” Henryka F. Nowaczyka - krotoszyńszczyzny, wybitnego badacza życia i twórczości Fryderyka Chopina, czytamy między

innymi: „...we wtorek 1 września 1829 roku, do dyliżansu kursującego raz w tygodniu pomiędzy Wrocławiem a Warszawą wsiedli trzej pasażerowie: dziewiętnastoletni Fryderyk Chopin, jego rówieśnik student medycyny na Uniwersytecie Warszawskim Alfons Brandt oraz trzydziestodwuletni urzędnik z Warszawy, prawnik Ignacy Maciejowski...”

Podróż, a właściwie wyprawa z Wrocławia do Warszawy, trwała z reguły około trzech dni. Cztery konie zaprzężone do dyliżansu poruszały się na trasie stępem lub kłusem, czyli z prędkością średnią około 12 kilometrów na godzinę. Szos jako takich jeszcze nie było, jeżdżono drogami gruntowymi, które na jesieni stawały się bardzo trudne do przejechania. Dodajmy do tego, że kabina dyliżansu nie była resorowana i jedyną - jednak niezbyt skuteczną formą amortyzacji wstrząsów - były grube poduszki, na których siadano.

Noce na przełomie sierpnia i września były już bardzo chłodne, a więc trzej podróżni musieli w dyliżansie przykrywać się pledami. Jechali już kilka godzin i na pewno byli zdrętwiali i śpiący. Podróż po nierównych i błotnistych traktach była ekstremalnie męcząca. Fryderyk był raczej drobnym i wrażliwym młodzieńcem, więc takie wyprawy były dla niego szczególnie wyczerpujące. Nocna jazda dyliżansem przez nieoświetlone, puste okolice musiała dla każdego być sporym przeżyciem. Kiedy więc woźnica donośnym krzykiem oznajmił podróżnym, że przed nimi Krotoszyn, wzbudziło to ich wielkie zadowolenie, a sama myśl o przekąsce i ciepłych napitkach oraz możliwość rozruszania zastałych kości była sama w sobie ulgą i przyjemnością.

Kiedy od strony Zdun, dyliżans wjeżdżał na brukowaną ulicę Krotoszyna, po śpiącym miasteczku roznosił się głośny tętent końskich

kopyt i turkot sztabowych kół. Dochodziła północ. Z dala już było widać migoczące płomienie pochodni zawieszonych na froncie pocztamtu, a tam pod okiem Kazimierza Ptaka, stajenni przygotowywali pięknie „wyglancowane” uprzęże. Cztery rosłe, kare konie coraz to nerwowo rżały i szorowały kopytami o klepisko. Czekala je ciężka praca, a na dodatek, czasem trafiał się bezlitosny woźnica, który nie szczędził bata, aby przyspieszyć podróż.

Dyliżans podjechał pod rozświetlony pochodniami budynek. Pomimo późnej pory, paru ciekawskich mieszczan przybiegało pod stację pocztową, aby zobaczyć pasażerów, którzy wydawali się być z innego, wielkiego świata. Mówili jakby inaczej i stroje mieli niewidywane w miasteczku. Potem po okolicy krążyły opowieści o młodych pasażerach nocnego dyliżansu, ale kim byli owi podróżni, mieszczanie dowiedzieli się dużo później od Kazimierza Ptaka. Te frapujące wieści o młodym Frycku w Krotoszynie przez długie lata krążyły po miasteczku i stały się między innymi podstawą tej opowieści.

Chociaż czasu było niewiele pasażerowie weszli do głównej izby, aby ogrzać się przy płonącym kominku. Gospodyni, pani Ptakowa z córką o imieniu Dziunia uwijały się jak w ukropie. Podały gościom z wielkiego srebrnego samowara mocną turecką herbatę. Potem przy dębowym stole kroiły na tacach świeży chleb i grube plastry szynki, wędzonego boczku i kiełbasy - już wtedy krotoszyńskie wędliny uważane były za jedne z najsmaczniejszych



Fot.: Autor



Postój dylizansu. Sztych z XIX w. Autor nieznany.

w Księstwie i pewnie nie tylko. Goście zasiedli przy stole i wyraźnie rozkoszowali się miejscowymi delicjami.

Poczmistrz w tym czasie przeszedł do dylizansu odebrać listy i przesyłki, które adresowane były na Krotoszyn. Stajenni wyprzęgali zdrożone konie i prowadzili je do stajni. Potem musieli zaprząć krotoszyńską karą czwórkę do dylizansu, co proste nie było, gdyż konie były rozdrażnione całym

rozgardiaszem, hałasem i światłami. Przy

zaprzęgu pojawił się znany w okolicy kowal, na co dzień w służbie księcia Maksymiliana, niejaki Józef Cieluch. Jego zadaniem było sprawdzić sprawność stalowych okuć kół i podwozia dylizansu. Końskich kopyt już nie sprawdzał, bo sam podkuwał wszystkie pocztowe konie. Na całą odprawę potrzeba było sporo czasu, ale i tak krotoszyńska obsługa mieściła się w granicach pół godziny.

Fryderyk z towarzyszami podróży raczyli się grzany, korzennym piwem, zwanym tutaj koźlakiem, bo po wypiciu zostawał na twarzy wąsik i bródka z piany. Fryderyk nie włączał się do rozmowy, którą toczyli jego przyjaciele. Z przymkniętymi oczami rytmicznie poruszał głową, a szczupłą dłonią coś wyraźnie wystukiwał na stole. Po chwili wstał i oświadczył z nieskrywaną radością, że ma wreszcie prezent dla Antoniego Henryka.

- Jesteśmy tak blisko Antonina, to pewnie dlatego nuty same do mnie przybiegły! – powiedział z delikatnym wzruszeniem.

Dopiero później, już w dylizansie wyjaśniło się, że Fryderyk był w trakcie komponowania tria na fortepian, skrzypce i wiolonczelę dla księcia Radziwiłła i właśnie na postoju w Krotoszynie, rozwiązał problem finału tej kompozycji, z którym zmagał się od kilku dni.

Czas odpoczynku minął bardzo szybko. Zza okna dobiegł do izby dźwięk trąbki pocztyliona, znak, że trzeba ruszać w dalszą podróż. Przed progiem dylizansu stała Dziunia z tacą, na której stały kieliszki z miodową gorzałką z miejscowej gorzelni. Podróżni z ochotą wypili strzemiennego i zasiedli z powrotem w mrocznej i chłodnej kabinie dylizansu.

Woźnica efektownie strzelił z bata, spod końskich kopyt poleciały snopy iskier, dylizans ruszył przez miasto ku rogatom drogi na Ostrów. Pasażerowie ciasno okryli się grubymi pledami i z ciekawością obserwowali skąpo oświetlone uliczki Krotoszyna. W niektórych oknach migotały blade płomienie świec, bo ciekawscy mieszczanie chcieli zobaczyć odjeżdżający dylizans. Nie mogli jednak wiedzieć, że jedzie nim jeden z największych artystów w całej historii muzyki – Fryderyk Chopin.

Bywają takie noce, które przez wydarzenia z pozoru błahe i nieznaczące, przechodzą jednak do sfery wiecznej pamięci. Taka właśnie była historia nocy, kiedy Fryderyk Chopin zatrzymał się Krotoszynie, i chociaż mieszają się w niej fakty i czasem mało precyzyjne przekazy i opowieści, to przekazywana z pokolenia na pokolenie, wpisała się na zawsze w historię uroczego, wielkopolskiego miasta.

Paweł Władysław Płócienniczak




POEZJA
Janusz Urbaniak
RODZINA

było jeszcze szaro
 wszedł do kuchni był głodny
 przez okno zobaczył brata
 jak z kubła wyciąga jakieś resztki

gdzieś dalej na ławce spała
 jego siostra upojona winem
 – bezwładna
 przy drodze za miastem
 miała stanąć inna siostra

w więzieniu w arizonie
 ten najstarszy rozmyślał
 w celi śmierci
 a w afryce zachodniej
 umierał z głodu najmłodszy
 – z muchami na twarzy

nad miastem świtało
 dzień miał być wysoki słoneczny
 – stojąc w oknie zaczynał swą
 modlitwę do ojca

SYNOWIE I CÓRKI

to było wielokrotnie za duże
 ciemność otwierała się
 i zamykała
 ze znakami bez znaków

z ludźmi bez ludzi
uśmiech i krzyk
niedopoznanie
kobiety głośne w miłości
i w wołaniu rodzenia silne

zimy od mgieł beznadziejne
potoki lat
powodzie i susze
pieniądze i biedy
silni przeciw tym co czytają
sędziowie przeciw oszukanym
księża co nie rozumieją

nasi synowie i nasze córki
czy wiedzą już jak dobro
podzielić i grosz złamany
podnieść nim zamieni się
w słowo które wróci?

DNI ZAWINIONE

chciałbym przeniknąć niewiadomą
płaszczyznę dni one ciągle
szepczą pełne złudnego celu
pewne bogactwa bez nazwy

gdy porywam się na góry wysokie
i zawracam w połowie drogi
gdy przechylam głowę ku studni
gdy lot ptaka śledzę
gdy żałuję
gdy słucham głosu kobiety
gdy brzeg książki gładzę
gdy oddycham i słyszę serce
i chcę zobaczyć zupełność

gdy wiem że niezamknięte
jest cierpienie a spragnieni patrzą
mi w oczy
i wielka jest siła mojej wygodnej
bezbronności

MATKA

gdy matka była już słaba
i opuchnięta a jej dni
naprężyły się jak cięciwa
syn dojrzał że jej wychudzone
dłonie były jego dłońmi

nie wiedział co mówić
był nieprzygotowany
na wielkość na kruszenie
chleba

przepraszam cię za moje
pierwsze pijaństwo
za przekleństwa

mówił tak po wielu latach
zmieszanych z kamieniami
z jego dróg w pokoju od ulicy
gdzie umarła spojona
z wiarą a jej ciało
złożono na podłodze

w domu co odpłynął
z ich wspólności
bo taki był ponad wszystkim
zamiar napisany
choć niewytłumaczony
podarowany

Janusz Urbaniak

POEZJA

Igor Frender

Ono

Dlaczego jeszcze się nie urodziłeś,
dobry człowieku?

Dzisiaj mamy wspólność.
Najprościej niczego nie rozumieć,
nie mieć lustra w łazience,
nosić zawsze tylko jeden klucz,
chować głowę za atrapą uczuć

i w ciepłe pisać wiersze
czułe, wrażliwe
wrozumiałe,
wysychać od wzruszeń

aż w końcu usłyszysz płacz narodzonego dziecka w wysokim C.
Zapamiętaj - Żywica to więcej niż krew. Nie smakuje człowiekiem

Zanim zaczniesz szydzić, wyprasuj sobie łeb.

Jednak jesteś.
Nie cofaj dłoni, dobry człowieku,
tylko zatrzymaj ewolucję.

Grand guignol

Dopasowanie, a potem założenie maski
wymagało intensywnych ćwiczeń,
więc ćwiczono,
zwłaszcza mimikę – niewerbalną komunikację,
dyskretną manipulację w pełnym zakresie ruchu z kontrolowanym oddechem.
A potem od możliwych tego świata zebrano oklaski.

Czy zasłużenie?
Sam oceń,
lecz najpierw spójrz za siebie.
Czy jeszcze jesteś na scenie, czy już siedzisz na widowni?

Burdel na stalowych kółkach

Podróż tramwajem nikogo nie interesowała.
I żeby można było powiedzieć, że udało się dobrze spędzić czas, wychwalano dziecko płaczące w wózku i odbity bilet.
Jeszcze wzięto pod uwagę kolor torebki.

Miejsca zajęte i żeby było kulturalnie, siedzieli na nich starzy mędracy niczym manekiny z zapomnianej fabryki.

Właśnie mijaliśmy Teatr Nowy, na którym napisano piekło kobiet.
Nikt nie zwrócił na to uwagi. W tramwaju panował porządek.

W czapce z daszkiem sprawdzałam bilety, choć nie miałam do tego uprawnień.
Zapaliłam papierosa.
Pozostańmy w oparach absurdu.

Kręci się tramwaj, kręci
na kanciastych torach.

Dialog

Przecież powiedziałbym prawdę.
Wystarczyło zapytać.

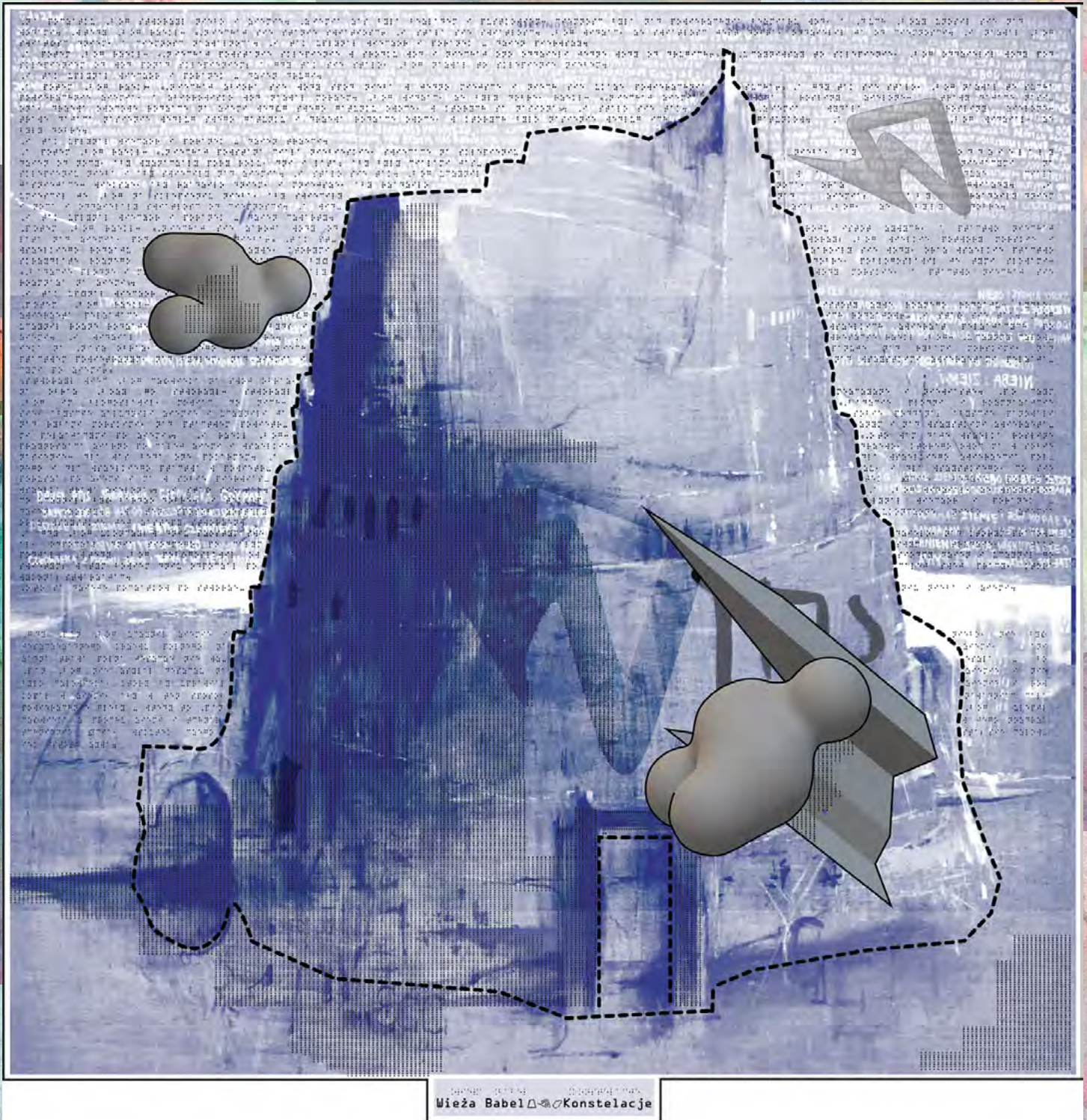
Jest tak chłodno, że zapinam kurtkę,
poprawiam rękawiczki.
Śnieg nie jest sprzymierzeńcem rozmów,
wpada w oczy.

Chodź, pójdziemy do kawiarni, marzy mi się ciepła herbata, wiem,
tobie małe ciastko.

Autentyczność jest najważniejsza,
nie stawiamy sobie granic.
Usiądźmy tu, przy oknie.
Przyszedł czas na rozmowę.

Oprzyj się o ścianę nie tylko ciałem, lecz całym człowiekiem.
Poczuj ciężar. Nikt nie jest tylko z przodu ani z tyłu.
Unieśmy się w nieobecność dźwięku.

Igor Frender



Wieża Babel i asteryzmy. Grafika Witold Zakrzewski, 2022.

Kalina Izabela Ziola

Borcze Panow

Borcze Panov (Macedonia) – poeta i tłumacz, urodził się w Radovisz w Republice Macedonii. Autor kilkunastu książek poetyckich i tekstów dramatycznych. Absolwent Wydziału Filologicznego w Skopje, od 1998 roku członek Stowarzyszenia Pisarzy Macedońskich. Jego poezja znalazła się w wielu antologiach i panoramach współczesnej poezji macedońskiej, a także w czterdziestu antologiach, almanachach i przeglądach poezji. Została przetłumaczona na wiele języków. Borcze Panov jest laureatem licznych znaczących międzynarodowych nagród literackich. W 2022 roku ukazała się w Polsce jego książka *ЌЕЛАВИОТ ГРАД / ŁYSE MIASTO* w tłumaczeniu Kaliny Izabeli Ziola.



POEZJA

Czasami
 śni mi się moja babcia. Mówi:
 Białe jest twoje pole chłopcze, czarne są nasiona.
 Siej je ręką - niech ludzie
 zbierają owoce ustami.
 Ale zawsze zostawiaj
 trzy kropki, jak trzy ziarenka,
 żeby nigdy nie zabrakło
 zwrotki naszego rodu...

ODSTĘPY MIĘDZY SŁOWAMI

Odstępy między słowami -
 jak puste krzesła wokół stołu.

Ile wspomnień na nich siedzi
 ilu ludzi czujemy w krtani
 przed tym, nim zawibrują
 struny głosowe.

Odstępy między słowami -
 wymawiamy was, nie czytając na głos.

ISKRA

Z wierzchu - panna młoda, pod spodem - wdowa,
 tak jak i w życiu:
 iskra leci w górę
 gasnąc na ziemi,
 tak mówił mój dziadek
 obracając węgle pod kociołkiem.
 Ile też iskier rozbłysło,
 podczas gdy on pędził bimber!

OSIEM MINUT DNIA W NOCY

Późną godziną, kiedy wracałem do domu,
 promyczek światła przycisnął mój cień
 do drzwi domu.

Cień otworzył drzwi
 i gdy tylko światło się rozproszyło,
 wślizgnął się do środka.
 Ja zostałem na zewnątrz.

To mi się nie przyśniło:
 moje marzenia już dawno narzekały,
 że drzwi są ciągle otwarte
 dla wszystkich cieni, które wymknęły się nocy,
 i dlatego im - moim marzeniom -
 coraz trudniej jest mnie obudzić z pierwszym światłem,
 które przychodzi, wahając się,
 osiem minut później;
 Ja dobrze wiem, że mój dzień
 przychodzi później - osiem minut później,
 kiedy nadchodzi noc,
 i nie zdążę ani tam, gdzie powinienem,
 ani tam, gdzie nie potrzebuję ...

TAK I NIE

Syn i ojciec. Urna z prochami.
 Syn wsypuje do swej kieszeni garść matczynych popiołów.
 Ojciec sieje prochy nad łąką,
 gdzie dźwięczało „Tak!”

zatarte tysiącem „Nie!”
 Jak teraz mieszkać obok siebie?
 Rozstali się, pokrzywdzeni przez los mężczyźni.
 Mogła nie stanie się częścią zgodnej rodziny.

ROZDROŻE

Gdy przekroczysz marzenia -
 staniesz się
 jak widoczna część labiryntu,
 w którym
 i nonsensy - są częścią całości.

PŁONĄCY SZCZUR

napiwszy się wieśniacy oblali szczura benzyną
 i podpalili.
 płonący szczur rzucił się na stodołę,
 która zapłonęła jak świeca
 a od niej zajęła się cała wieś ...
 i zaczęły się dyskusje,
 dochodzenie prawdy,
 ujawnianie kłamstw,
 szukanie alegorii ...
 doszło nawet do bójek.
 zastanówmy się:
 czy jesteśmy pijani, czy też spala nas głupota,
 jak tego szczura,
 jak stóg siana i wioskę - lecz czy to naprawdę ma znaczenie ...

NIEBIESKIE KROKI

Mijały lata,
 nawet nie wiedziałem, że mój przyjaciel umarł
 dawno temu.
 Cóż, niech ziemia
 będzie mu balsamicznym darem,
 a niebo - puchem, żeby mu było łatwiej
 iść śladami wspomnień.



*Tłumaczenie z języka rosyjskiego:
 Kalina Izabela Ziola*

Mikołaj Olejniczak

pocą mi się oczy

do bólu i radości
zapachu lat podeszłych
w zadrzwiowym szuraniu bamboszy i
jedyną charakterystyką przekłuczu drzwi
tak już pusto mi

już nie łąga twa przykrość
samotności nieoswojonej
kubek strapienia odwodnił się
i pewnie miło jest tobie

ja jak twój hibiskus
powoli czernieję w środku
uwiedły mój dzień
bez twojego JESTEM

chyba dojrzewam powoli
że to w czwartek był ostatni raz



Marika Lipowska

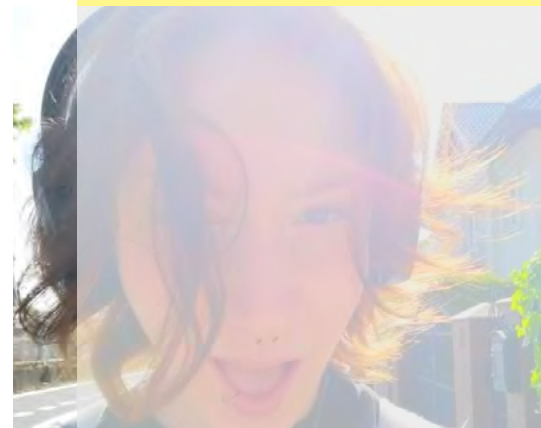
List do Sztuki

Wasza Wysokość,
Czy mogłaby mnie Pani łaskawie rozszarpać na strzępy?
Sprawić mi tę przyjemność i powoli
strugać rzeźby w moich przedramionach?
Swoimi dłońmi jak smugami światła,
wycisnąć moje serce do suchej nitki,
pozostając przy tym nieskazitelną.
Wyszarpać włosy z mojej powiewającej na wietrze
głowy i zrobić z nich struny do harfy,
na której zabrzmiał kompozycja naszej nocy.
Połamać mój kręgosłup składając mnie jak książkę
i czytać ze mnie wierszami.
Z myśli upiec chleb a pragnienia przemienić w wino
i nie nasycić się bo dużo we mnie pragnienia a
mało myśli.

Pożerać mój język łapczywie, wsłuchując się w piękno
krzyków cierpienia, które tak kochasz.

Zostawić mi sprawną jedynie prawą rękę
abym mogła pisać o tym co mi robisz.

Z wyrazami pożądania...



Izabela Fietkiewicz-Paszek

Wersy w kontrze, czyli o debiucie Romany Cegielnej-Szczuraszek

Romana Cegielna-Szczuraszek, Kontro-wers, 2023

„Skąd to? Z czego? I po co? Ano z potrzeb. Różnych. Człowieczych, zwyczajnie. Piłam, paliłam, tańczyłam, śpiewałam, płakałam, się śmiałam i... pisałam. Autopsychoterapeutyczne stwory. Tak i oto jest, tomik, za co dziękuję wszystkim, którzy kopali mnie w tyłek, abym wreszcie to swoje pisanie ukazała światu. No to proszę, się stało ciałem. (...)”

Jeżeli ktoś tak zaczyna debiutancką książkę, albo sugeruje swoim czytelnikom i czytelnikom, że czeka ich coś zabawnego, z przymrużeniem oka, a przynajmniej nie do końca serio, albo zapowiada nam już na wstępie: mam do siebie dystans, a pisanie poezji to jedna z licznych aktywności, którą się tej przestrzeni (logiczna konsekwencja: dystans do siebie stwarza przestrzeń) zajmuje autorka.

„Nie mów na mnie poeta,
jak na podobnych mi ludzi.
Ja zwykły wierszokleta,
co słowem kocha się trudzić.
(...)” [Dygresje po biennale, s. 7]



I tu właściwie można uznać: mamy to. Już w pierwszym wierszu. Tylko, czy na pewno? Może to rodzaj asekuracji?

Debiut Romany Cegielnej-Szczuraszek to zbiór ponad 100 wierszy, z ilustracjami – także samej poetki, która jest kobietą wielu talentów. Zajmuje się malarstwem, tworzy kolaże, asamblaże i instalacje, rzeźbi, szyje, projektuje wzory na tkaniny, odnawia stare meble, pisze wiersze i teksty piosenek. Tak niebywale „energetyczna”, zaangażowana artystycznie i kreatywna postać wyczerpuje definicję tzw. niespokojnego ducha.

Z taką przed-wiedzą zabieram się za lekturę, innymi słowy: sprawdzam.

I już w drugim wierszu dostaję nauczkę.

„Dlaczego burzysz się na język, którym do ciebie piszę,
w czasach, gdy „kurwa”

po salonach bryluje,

gdy „chuj” nie tylko w spodniach siedzi,

gdy „pierdolenie” bez użycia narządów płciowych
się odbywa?

Dlaczego oburzasz się na moje słowa,

gdy tak na wszystko masz

„wyjebane”?

(...)” [We mnie kamienie, s. 9]

Ten tom to zestaw bardzo różnych i różnorodnych wierszy, tematów, języków i nastrojów, to osobista, chwilami intymna podróż po świecie skomplikowanych emocji, sposobów ich wyrażania, nazywania i ujarzmiania, to opowieść doświadczonej kobiety, która z jednej strony wydaje się być kolorowym ptakiem (oj, znajdziemy tu sporo tekstów na dowód), z drugiej – wnikliwą i uważną obserwatorką i „recenzentką” rzeczywistości, obserwatorką, która brutalnie i bez eufemizmów wykrzyczy światu i ludziom, gdzie zawiedli.

A robi to raz rymem, innym razem „białym wierszem; raz stylizując, parafrazując, odwołując się do tego, co znamy i lubimy (np. wiersz sztos zaczyna się tak: „na stos rzuciliśmy / ich życie i los”, s.12), innym razem tworząc neologizmy (np. wiersz pt. Przedstawienie pt. „Było sobie życie,s.17, w którym znajdujemy m.in. „Brat młodszy – Jawampokażę / Kuzyn – Achujzty”), jeszcze w innych wierszach – czasem, jak tu, skróconych niemal do formy aforyzmu) wykorzystując gry słów dla wypowiedzenia gorzkich refleksji:

„chciałam skoczyć z dziesiątego piętra

a tam ludzie

których tak chciałam uniknąć...” [skok, s. 50]

Szczuraszkowa bezceremonialnie rozbraja związki frazeologiczne, rozprawia się z wieloma utartymi zwrotami, „dając im „nowe życie”, pokazując, jak język zastawia na nas pułapki – wzmacniając „niewinnymi powiedzonkami” szkodliwe stereotypy:

„kobiety są jak wino

im starsze tym lepsze

lecz nie należy ich przechowywać zbyt długo

tak do lat pięciu

żeby się nie przemieniły w ocet

(...)” [takie o tych, s. 66]

„wychodzę z siebie

z niewygodnej sytuacji

boso

o własnych siłach
na własnych nogach

(...)" [boso, s. 66]

Zabawa słowem? Owszem, ale rzadko dla samej zabawy. Zazwyczaj gdzieś pomiędzy żonglerką słowami jest refleksja – nad nieubłaganym czasem, nad krzywdą słabszych, nad kondycją człowieka, nad relacjami i związkami, nad kobiecością wreszcie, eufemistycznie mówiąc: kobiecością zmienną w czasie. bo zarówno figura kobiety, jak i temat przemijania – nadają ton w „Kontro-wersie”.

Izabela Fietkiewicz-Paszek

17 maja 2023

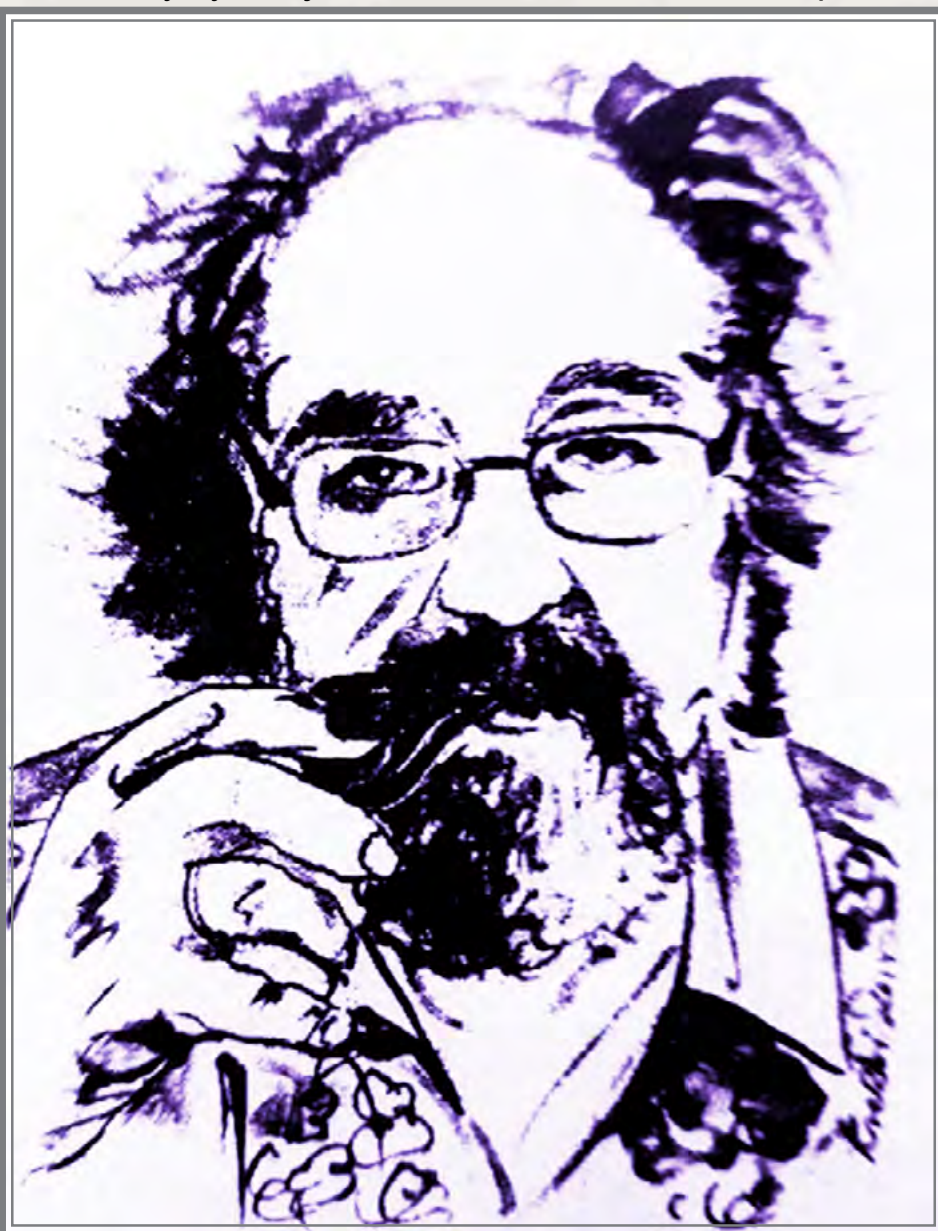
Romana Cegielna-Szczuraszek, Kontro-wers, wyd. Liberum Verbum, Wrocław 2020.



Zbigniew Kresowaty

Na odejście Olka w zapachu fajki

Nie pamiętam dokładnie daty, ale było to chyba pół roku po wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce na przełomie 1982/1983 roku jesienią(?). Odbywały się w Kawiarni Artystycznej „KALAMBUR” we Wrocławiu spotkania comiesięczne z serii „**Gość z Polski**”. Byli tu zapraszani m. in. poeci nowego Pokolenia, ale nie tylko. Także: Stanisław Stabro, Piotr Cieleśz, Kasia Suchcicka i inni z *Antologii* Jerzego Leszina - Koperskiego i Zbigniewa Jerzyny „Pokolenie, które wstępuje”. I tak odbyło się tu spotkanie autorskie z poetą, (kolorystą literackim), późniejszym dziennikarzem, żydowskiego pochodzenia, Aleksandrem Rosenfeldem, który wrócił z emigracji.



Portret charakterologiczny Aleksandra Rosenfelda – Olka, poety żydowskiego, wykonał w 2015 roku - Zbyszek Ikona Kresowaty dla czasopisma „OP” – Krezbi.

Byli tu zapraszani m. in. poeci nowego Pokolenia, ale nie tylko. Także: Stanisław Stabro, Piotr Cieleśz, Kasia Suchcicka i inni z *Antologii* Jerzego Leszina - Koperskiego i Zbigniewa Jerzyny „Pokolenie, które wstępuje”. I tak odbyło się tu spotkanie autorskie z poetą, (kolorystą literackim), późniejszym dziennikarzem, żydowskiego pochodzenia, Aleksandrem Rosenfeldem, który wrócił z emigracji.

W dniu 3 marca 2023 roku Aleksander Rosenfeld odszedł. Urodzony w 1941 roku w Tanbowie. Okazja to do wspomnienia Olka na jego odejście w obłoki... Alek lub Olek, jak go wszyscy nazywali, urodził na terenie byłego Związku Radzieckiego. Wiele lat

mieszkał i tworzył w Lublinie. W latach 1980-81 działał w NSZZ „Solidarność”. Natomiast w latach 1982-1987 przebywał na emigracji w Izraelu. Nie podobało mu się tam, wrócił więc do Polski przez Rzym. Olek, poeta, gawędziarz, tłumacz, wykładowca łaciny, przez swój charakter i trudne życie był „skazany na koloryzowanie literackie”. Nigdy nie wspominał miejsca urodzenia. Być może wstydził się wspominać tego kraju? Kto wie! Podsumowanie jego wieloletniej twórczości literackiej bywa czasem trudne... Wtedy na spotkaniu autorskim dowiedzieliśmy się, że poeta porzucił życie w Izraelu w kibucu. To rzekł na początku spotkania w „Kalamburze” we Wrocławiu, że **przybył teraz już na stałe** do kraju z rodziną - córką i żoną. Spotkanie z Rosenfeldem o godz. 19.00 (nie pamiętam daty) otworzyła Halina Litwiniec. Poeta na początku oświadczył, że szuka lokum dla siebie, może być gdzieś na wsi. I już po chwili zaczął mówić o swoim, tu i ówdzie, pobycie i życiu, jakby wygnany(?), a później intrygującymi słowami, w duchu ignorancji, powiedział, jaki ma żal do generała Kiszczaka. Zaatakował go, mówiąc, że: **jest całym winowajcą stanu wojennego i wraz z Jaruzelskim kłamią niedorzecznie i paskudnie o ruskich...** Opowiedział o Kiszczaku, co on publicznie gdzieś tam oświadczył, chyba dla ambasady izraelskiej(?), że: **„prędej mu na otwartej dłoni kaktus wyrośnie niż Rosenfeld będzie w Polsce...” - I widzicie! – Nie wiem, czy ma teraz na ręce kaktus – może i ma, ale chyba tak się nie stało?! – Widzicie jestem!** Później po zapoznaniu się z jego przygodami w świecie i w Izraelu, opowiadał dokładnie o życiu w kibucu, o fizycznej pracy. Mówił trochę o obyczajach, o Ameryce, gdzie **w Berkeley odwiedził Miłosza, a teraz pisuje z nim listy**, koloryzował spotkanie powrotu do Polski, które odbyło się przez Rzym. Ciekawie opowiedział, jak został przyjęty przez papieża w stolicy apostolskiej w Rzymie, zapewniając, że: **„papież ma i czyta moje wiersze, a tomik mój leży na nakasliku Świątobliwości w sypialni - papież ma moje wiersze wciąż pod ręką...”**

Poznałem Olka po tym spotkaniu nieco bliżej, zastałem go przy czytaniu jakiejś literatury - oczywiście wiedziałem o nim dużo, że dużo koloryzował i, jak to bywa z gawędziarzami-artystami, ma to we krwi, że zna tego i tamtego artystę, poetę. Rosenfeld pytał mnie, czy jestem Żydem? I od razu potraktował mnie przyjaźnie i choć zapewniałem, że nie jestem Żydem - nie chciał w to wierzyć, ale tak już z nim zostało. Przeszliśmy na „ty”, bo on wszystkim mówił na „ty”. W każdej rozmowie, przy innej okazji, wymieniał także znanych aktorów i dziennikarzy, że ich zna i wie, co znaczą dla środowiska, podkreślał swoją znajomość z Czesławem Miłoszem, mówił o spotkaniu z Wacławem Hawlem w Pradze, a wcześniej poznał K. I. Gałczyńskiego, J. Strykowskiego w Warszawie, Jerzego Grotowskiego, Wisię Szymborską, a z Wojaczkim i Stedem oraz innymi poznał się okazji np. w Poznaniu. Wymienił tych, z którymi pisze listy. Mówił o złych relacjach w środowisku, że nie lubiani są Żydzi... Znał wielu obecnych poetów i artystów polskich, zwłaszcza z Krakowa. Natomiast, wracając do spotkania w „Kalamburze” - przyszło mu tutaj czytać to, co zadeklarował, czyli swoje tłumaczenia wierszy. A były to teksty Achmatowej i Brodskiego. Olek wlaź wówczas na stolik kawiarniany, stojący pośrodku kawiarni i zaczął czytać głośno przekłady. Powiało nie-

co konsternacją. Nie wiem do dziś, czy to była adrenalina po wcześniej wypitym piwie, czy ktoś ze zgromadzonych postawił mu drinka? Kawiarnia artystyczna „Kalambur” była wypełniona do ostatniego miejsca, nawet antresola przy szatni na pięterku. No i wówczas byli tu obecni poeci, pisarze i krytycy wrocławscy oraz kilku przyjezdnych. Olek tak się poruszał na blacie stolika, że o mało nie spadł z niego... Oburzył się na to Marek Garbala – stały krytyk i bywalec kawiarni, był Janek Stolarczyk - krytyk literacki i dyrektor ówczesnie istniejącego jeszcze Wydawnictwa Wrocławskiego oraz Marianna Bocian – poetka, która zawsze pierwsza zabierała głos po prezentacji danego poety. Był Stanisław Stabro z Krakowa, Józek Łoziński – wrocławski pisarz, Wojtek Izaak Strugała z Lwówka Śląskiego, było wielu znajomych i znanych poetów i poetek oraz studenci. Pod dużymi zasłoniętymi oknami kawiarni, chodnikiem ulicznym w kierunku tam i z powrotem, w stronę Uniwersytetu im. Bolesława Bieruta, spacerowały patrole stanu wojennego. Nazywałem ich wtedy zawsze po stalinowsku: „stupajki”. Otóż, pamiętam jak strasznie się piekliła wówczas szefowa Kawiarni Artystycznej i organizatorka tych spotkań Halinka Litwińcowa: „...**Olek ja cię zabije... błagam cię – zejdź ze stolika i trochę ciszej czytaj Achmatową – tym bardziej go nakręciła, bo czytał jeszcze głośniej i nie słuchał – „Olek! - zaraz tu wejdą i nas wszystkich spałują!”**. O to samo prosił obecny dyrektor Teatru **OTO Kalambur** Boguś Litwiniec - jej mąż. Prawdę mówiąc wszyscy, którzyśmy przyszli na to spotkanie, też nieco drżeliśmy w boksach, żeby nie wynikło z tego jakieś zamieszanie z wojskiem i w efekcie pałowanie! Poeci i outsiderzy siedzieli, popijając kawę, piwko i drinki, wierząc, że nie wejdą zieloni i nie zaczną pałować, ale chyba oni nie wiedzieli, kto to Achmatowa, Brodski. Inni goście uczestniczący pili spokojnie herbatę, patrząc na ten niecodzienny spektakl. Olek czytał, z fajką w ręce, pociągając z cybucha co chwilę między wierszami. Po słowach Haliny nabrał jeszcze większej adrenaliny i wigoru. Nikogo nie słuchał, można tylko przypuszczać, jaki był zły na ulicznych stupajków i ich stan wojenny, że gotów jest ich do czegoś sprowokować. Czytał teksty tłumaczone w sposób charakterystyczny dla siebie, kręcąc się i przytupując na stole, pykając ulubioną fajkę. Jak pamiętam, był to isticie spektakl, którego dziś nie powstydziliby się ktokolwiek pracujący w teatrze... Niektórzy myśleli, że to jakiś akt teatralny OTO Kalambura! Na szczęście obyło się bez interwencji, ale legitymowali nas przy opuszczaniu lokalu. Było już po godzinie policyjnej, przemykaliśmy z Marianną Bocian bocznymi uliczkami (Bocian nigdy nie lubiła Żydów, ale Rosenfelda bardzo honorowała!). Przemykaliśmy w kierunku jej mieszkania na ul. Ścinawskiej (boczna od ul. Legnickiej i Małopanewskiej). Udało się, nikogo z nas żaden ze stupajków nie zaczepił, a nawet nie widział. Ja musiałem przebić się później w okolice Nowego Dworu, gdzie mieszkałem – trwało to dodatkową godzinę, ale też mi się udało!

Jeżeli już wspominam Olka Rosenfelda - był to bardzo dobry człowiek, i poeta, i tłumacz – i on o tym wiedział! Później był także wziętym dziennikarzem. Był to twórca żywy i uczuciowy, lubiący towarzystwo ludzi sztuki i kultury.

Następna dygresja - kiedyś wynurzył się przy Przejściu świdnickim we Wrocławiu i na-

potkał mnie: „**o! - jak dobrze, że cię widzę, co robisz? – zapraszam cię na kawę do Empiku**”. Idziemy. Po drodze widzę przed ówczesnym PDT-em aktora Ryszarda Kotysa z żoną i dzieckiem w wózku. Olek bez pardonu odskakuje i dobiega do nich, ja odszedłem na bok, a on ich zagaduje i gestykuluje. Rozmowa trwała może ponad 8 minut? Doszedł znów do mnie.

Pytam, czy zna Kotysa? „**A skąd, tak podszedłem i coś mu wspomniałem, a on na to przystał – widziałeś, że się przywitał i śmiał się - lubię go!**”. Po chwili byliśmy w pobliskim Empiku, który wówczas serwował kawę i ciastka. Słyszę: „**weź kawę i ciastko**”. Wziąłem i zapłaciłem (ja, zaproszony!). W trakcie rozmowy Olek chciał mi już dać adres i telefon do Miłosza, choć o to nie prosiłem, ale... „nie wziął!”. Pośmialiśmy się, choć jego ciężko było rozśmieszyć, sam sypnął jakąś kabałą. Co teraz robisz? – pytam. – **A wiesz wykładam łacinę i trochę hebrajskiego tu i ówdzie, nawet na uniwerku. Jak z mieszkaniem? – Coś się klaruje w Urzędzie – nawet cieszę się na to, ale to pod Wrocławiem – nie szkodzi, byle coś było nad głową... Słuchaj weź jeszcze kawę i może jakieś ciastko, ja skoczę do ubikacji**. Wziąłem, przyszedł i znów pijemy. On dużo opowiada o kontaktach, np. z malarzami. Mówi: „**Tchórzewski, którego znałem dobrze – to dobry wybitny malarz, ale schizofrenik, Kantor – znerwicowany, ale fajny artysta modernista**”... Po chwili cały Kraków wymieniał... Zorientowałem się, że lubi sztukę, obrazy... Wypił kawę, ciastko zjadł do połowy: „**wiesz śpieszę się - patrzy na zegarek, teraz – mam spotkanie z córką tu przed Empikiem, muszę iść do niej**”. Wyszedłem i ja. Olek już stał z córką – ładna dziewczyna, czarna, o rysach żydowskich - przedstawił mi ją i za chwilę pożegnaliśmy się uściskami dłoni. Poszli na zakupy do PDT. Tak ostatni raz widziałem po stanie wojennym Olka. Później spotkałem go znów we Wrocławiu, chodził po śródmieściu – ciągle śpieszył się gdzieś – on zawsze się śpieszył. Wiem, że robił w dziennikarstwie dobre rzeczy – wciąż spóźniał się i nie chciał o tym rozmawiać. Cześć jego ciekawej Pamięci!

Zbigniew Ikona - Kresowaty



CEREMONIA HERBATY

Danuta Zasada

Marzyłam o urządzeniu ceremonii herbaty w naszym tokijskim mieszkaniu. Pomysł niejako nasuwał się sam – mieszkanie posiadające pokój wyłożony matami tatami może doskonale pełnić rolę pawilonu herbacianego. Podejmując realizację tego przedsięwzięcia, nie zdawałam sobie sprawy na jak trudną wkraczam ścieżkę. Nasza znajoma Japonka – Reiko



– obiecała pełnić rolę mistrzyni ceremonii. To mnie nieco uspokoiło. Trzeba jednak było zaopatrzyć się w odpowiednie akcesoria. Pojechaliśmy więc z Reiko na targi ceramiki do miejscowości Mashiko, w Prefekturze Tochigi, na wyspie Honsiu, aby zaopatrzyć się w czarki (*chawan*) na herbatę. Pozostałe przedmioty – żeliwny czajnik do gotowania wody, puzderko natsume na proszek herbaciany, pędzel albo mątewka do mieszania herbaty (*chasen*), bambusową łyżeczkę do nabierania proszku *chashaku*, czerpak do nabierania wody *hishaku*,

tkaninę jedwabną o wymiarach 30x30cm (*fukusa*) nabyłam już w Tokio. Reiko przyniosła papierowe serwetki, na które goście kładą w czasie ceremonii słodczyce podawane z herbatą i wachlarze długości 15 cm dla gości płci żeńskiej. Wykonała też kaligrafię do wnęki w ścianie (*tokonoma*). Kaligrafia taka powinna być w zasadzie dziełem buddyjskiego mnicha, jednak uznaliśmy, że ważniejsze niż konwencjonalne przepisy jest nastawienie, z jakim przystąpimy do ceremonii. Zamiast paleniska z węglem drzewnym, na którym gotuje się w miesiącach jesienno-zimowych wodę na herbatę, zastosowaliśmy maszynkę elektryczną. Nasza ceremonia była więc dostosowana do warunków, jakie panowały w mieszkaniu. Dzień wcześniej zakupiłam ciasteczka z mąki ryżowej i przygotowałam tacę, na której planowałyśmy je podać gościom. Goście zostali zaproszeni dużo wcześniej i uprzedzeni, że do pokoju tatami będą musieli wejść bez butów. Było nas w sumie siedem osób z różnych krajów: z Polski, Japonii, Brazylii i Gwatemali. Ustaliśmy z Reiko, że zgodnie ze zwyczajem przed ceremonią podamy posiłek – w tym wypadku kolację w stylu raczej międzynarodowym niż japońskim, a następnie przejdziemy do pokoju tatami, by – symbolicznie - wstąpić na drogę herbaty. Po usadzeniu gości na poduszkach rozmiesz-



czonych na podłodze w naszym pokoju tatami Reiko rozpoczęła przygotowywanie czarek z herbatą. Symbolicznie oczyściła każdą z nich ściereczką. Odmierzała za pomocą bambusowej łyżeczki porcję zielonego proszku, wsypywała go do czarki, dokładnie rozrabiła pędzlem po czym wstawiała (wszystko odbywało się na podłodze), zanosila czarkę, stawiała przed gościem, kłaniała się kłęcząc i odchodziła, by przygotować następną herbatę. Ja rozdałam każdemu po ciasteczku. Gdy wszyscy goście otrzymali herbatę, zaczęli jeść ciasteczka, po czym unosili czarkę na dłoni lewej ręki, obracali ją obrazkiem ku sobie, podziwiali kształt i zdobienie czarki, a następnie wpijali herbatę. Przed jej wypiciem należało ukłonić się temu, kto siedział obok. W końcu Reiko ponownie wstała, by pozbierać czarki. Nasi goście po raz pierwszy brali udział w ceremonii herbaty, toteż w trakcie podawania czarek toczyli rozmowy, jak w czasie zwykłego przyjęcia towarzyskiego. Bardzo odbiegało to od nastroju, jaki panuje na podobnych imprezach odbywających się w dzisiejszej Japonii. Historycznie rzecz biorąc ceremonia herbaty to element kultury medytacyjnej wywodzącej się z buddyzmu japońskiego - *zen*. Posiada bogatą i długą tradycję sięgającą czasów panowania dynastii Tang (618-907) w Chinach. Pierwsze wzmianki o picie tego napoju w Japonii pochodzą z początku IX wieku. Mnisi buddyjscy, którzy w tamtym czasie często odbywali studia w Chinach, przywozili susz herbaciany do Japonii. W czasie długich ceremonii świątynnych pili herbatę, aby podtrzymać przytomność umysłu. Sproszkowana herbata – *matcha* – pojawiła się w Japonii pod koniec XII wieku. Później jej spożycie zaczęło się rozpowszechniać zarówno wśród arystokracji, jak i wśród ludu. W połowie XIV wieku wykształciły się w klasztorach buddyjskich reguły dotyczące zasad *chanoyu*, czyli szczegółowych przepisów, jakich trzeba przestrzegać w czasie przyrządzania i picia herbaty.



Jednak za mistrza i kodyfikatora drogi herbaty uznaje się żyjącego w XVI wieku buddyjskiego mnicha Sena Rikyū. Dzięki niemu ceremonia nabrała innego wymiaru, takiego jaki obecny jest w niej do dzisiaj. W ceremonii herbaty fascynuje mnie podkreślenie niepowtarzalności chwili - jest to, według Japończyków „jedyne spotkanie w życiu”, szczególna okazja spotkania z gospodarzem i innymi gośćmi w konkretnym czasie i miejscu – pawilonie herbacianym *chashitsu*, jaka już nigdy w takiej samej formie się nie powtórzy. Nacisk położony jest tutaj nie tyle na dokładne odtworzenie rytuału – cho-

ciaż i to jest ważne z punktu widzenia gospodarza ceremonii, ale przede wszystkim na sam akt spotkania z drugim człowiekiem, spotkania, które może być pierwszym i ostatnim. Ponieważ jest ono unikalne, należy porzucić wszelkie światowe rozmowy o niczym i skupić się na przeżywaniu tej jedynej w swoim rodzaju chwili. Drugim elementem, do którego umysł człowieka Zachodu musi się przekonać jest swoista estetyka obecna w czasie spotkania w pawilonie herbacianym. Rikyū kładł nacisk na prostotę, wręcz ubogość miejsca, gdzie odbywa się ceremonia. Miał to być prosty nieduży domek z bambusa, gliny i desek z podłogą z mat, oddzielony od świata zewnętrznego symboliczną furtką. Utensylia również nie powinny

przepychem odciągać od przedmiotów jak czarki mogły być udolnie, niekrzykliwe w kolorze. obejmująca pojęcia surowości czątkowo zrymałam się na ów herbaciany. Dopiero z czasem przeżycie wewnętrzne, nie o naszym dzisiejszym świecie reklamy. Trzecim elementem, niepotrzebny i trudny w odbiorze herbaciany. Goście japońscy należy mówić, tematy są prze-



gląd zwoju we wnęce, kształt dekoracji kwiatowej (nie, to nie ikebana, tylko pojedynczy na ogół kwiat, jeszcze na wpół w pąku), piękno czarek, aktualna pora roku z jej cechami charakterystycznymi. Również zachowanie gospodarza, każdy jego krok czy gest są przewidziane rytuałem i podyktowane rodzajem ceremonii. Tak naprawdę Droga Herbaty, czyli *chadō* to sposób życia, a nie tylko przygotowywanie i picie napoju. Toteż najważniejsze są tu cztery zasady: *Wa* – harmonia, jedność z naturą i ludźmi – z porą roku, nastrojem, gośćmi, gospodarzem, podawanym jedzeniem; *kei* szacunek, z jakim traktuje się nie tylko ludzi, ale i używane utensylia i wykonywanie zwykłych czynności związanych z przygotowaniem herbaty; *sei* – czystość i porządek w sensie dosłownym oraz duchowym – gość zanim wejdzie do pawilonu herbacianego myje ręce w kamiennej misie stojącej w ogrodzie, oczyszczając się symbolicznie z „brudu” codzienności, który pozostaje poza pawilonem herbacianym; *jaku* – spokój serca, jaki można osiągnąć medytując w samotności nad czarką herbaty w połączeniu z naturą. Kiedy dochodzi do spotkania kilku osób przy czarce wewnętrzny spokój się pogłębia w kontakcie z innymi ludźmi. Taki jest najgłębszy sens ceremonii herbaty. Musiał upłynąć pewien czas, żeby mój umysł wychowany w zgiełku Zachodniego świata to zrozumiał.

Danuta Zasada

Zdjęcia:

1. Pokój wyścielony matami tatami stanowi namiastkę pawilonu herbacianego w apartamentowcu.
2. Nasza „mistrzyni ceremonii” - Reiko na tle zwoju z kaligrafią wywieszzonego na czas ceremonii herbaty we wnęce pokoju tatami.
3. Kaligrafia na zwoju mająca zapewnić pokój domowi.
4. Mistrzyni ceremonii przygotowuje herbatę
5. Goście słuchają objaśnień Reiko na temat znaczenia i zachowania w czasie ceremonii herbaty.





Miłość w Japonii

Danuta Zasada

Oksymoron to figura stylistyczna stosowana w retoryce i poezji. Polega na metaforycznym zestawieniu wyrazów o przeciwstawnym, wykluczającym się znaczeniu, jak np. gorzkie szczęście lub japońska miłość.

Odwołując się do figury oksymoronu myślę o tzw. miłości romantycznej między kobietą a mężczyzną, w formie kwiatów i zalotów. Miłość w takiej postaci jest w Japonii trudna do zidentyfikowania. Niechaj nie zwiodą nikogo obchodzone tutaj walentynki – przeszczep z kultury Zachodu. Zyskały one swoicie japoński wyraz – to dziewczęta dają chłopcom czekoladki, podbudowując tym samym męskie ego niczym dawne gejsze. Edwin Reischauer w książce „The Japanese today. Change and Continuity”, opisując życie kobiet i mężczyzn w japońskim społeczeństwie na przestrzeni wieków konkluduje, iż flirt i zaloty przesunięte zostały w osobną strefę specjalnych dzielnic rozrywki i mimo że na Zachodzie były częścią życia społecznego, w Japonii nie istniały¹. Konfucjanizm, który pojawił się tutaj około V wieku n.e. uważał miłość romantyczną za słabość, a seks po prostu za mechanizm, który miał na celu utrzymanie ciągłości rodziny. W tym kontekście i przy świadomości podobnych antecedencji trudno oczekiwać, że w Japonii ta sfera życia wchłonie i zaakceptuje to, co trubadurzy w Europie wypracowali w ciągu wieków – romantyczne kody ekspresji - pieśni, poezje i zachowania. Bardziej typowe dla Japonii w tym względzie wydaje się pełne trzeźwego pragmatyzmu podejście, z jakim zdradziła się para młodych ludzi w jednej z tokijskich kawiarni:

- Czy czujesz coś do mnie – zapytała dziewczyna.
- Bardzo dobrze gotujesz – odparł chłopak, po czym oboje zamilkli.

Konwersacja ta, podsłuchana przeze mnie w Tokio w 2010 r. w dzielnicy Shibuya, bardzo dobrze oddaje istotę rzeczy. Gdyby podążać głębiej, być może okazałoby się, że jesteśmy świadkami najprawdziwszego wyznania miłosnego, czy ściślej mówiąc – oświadczyn i że rozgrywająca się na naszych oczach scenka zakończy się ślubem. W Japonii bowiem kwestie te wyglądają nieco odmiennie niż w naszej zachodniej kulturze.

Na najbardziej uczęszczanych przez młodzież ulicach Tokio widuje się grupy dziewcząt i chłopców, wydające się spacerować po mieście bez określonego celu. Rozmawiają, coś jedzą, śmieją się. W czasie takich spotkań można się nawzajem obserwować i, jeśli pojawi się wzajemne zainteresowanie, wyznać, że chcemy się spotykać z daną osobą na zasadzie wyłączności. Po takim wyznaniu 'randkowanie' zostaje niejako świadomie zaakceptowane i uprawomocnione. Niewiele jednak jest tutaj gestów kojarzonych w naszej kulturze z uczuciami. Sygnały świadczące o głębszym afekcie w stosunku do partnera przybierają bardzo nieraz subtelną i zawoalowaną formę. Chociażby taką, jak w przytoczonym przeze mnie dialogu, zawierającym opinię na temat umiejętności gotowania wyrażoną w stosunku do dziewczyny. A że do umiejętności gotowania wciąż przywiązuje się w Japonii dużą rolę mogłam się przekonać w czasie różnych imprez, na których tuż po obowiązkowej wymianie

wizytówek pytano mnie, jako kobietę pozostającą w związku małżeńskim, czy, i co, gotuję.

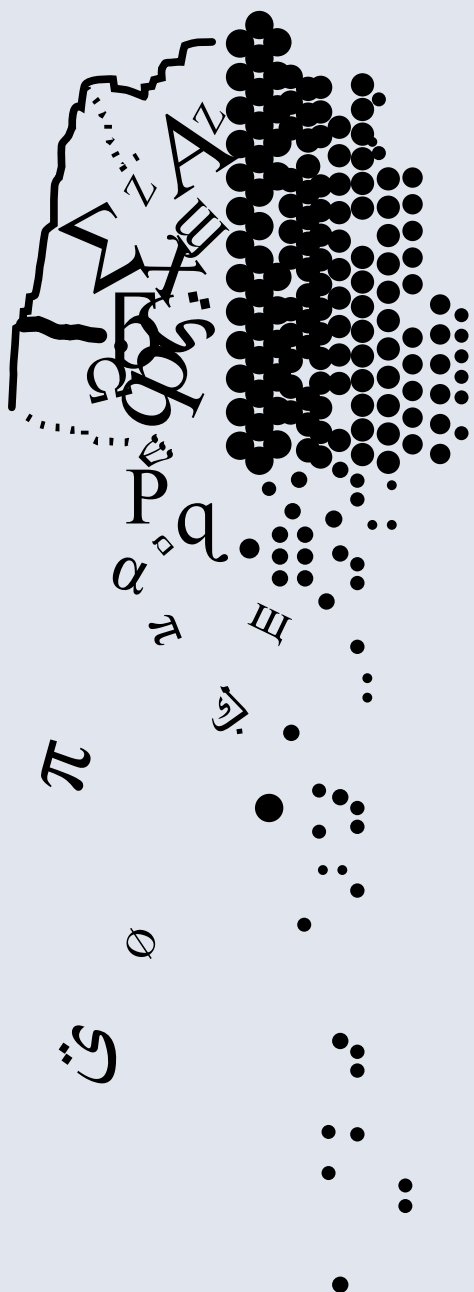
W wilię Bożego Narodzenia młodzi randkownicze udają się na romantyczną kolację we dwoje - towarzyszą tym spotkaniom piękne dekoracje świąteczne z choinkami i zaprzęgami Mikołajów ustawionych wszędzie w przestrzeni publicznej. To tylko kostium i blichtr, tak naprawdę nikt tu Bożego Narodzenia nie obchodzi, wyjąwszy garstkę katolików. Modele przeżywania miłości pochodzą często z ekranu smartfona lub telewizora i kreowane są przez J-pop, czyli muzykę rozrywkową przeznaczoną dla nastolatków. W piosence „Arigatou” (Dziękuję) wokalistka zespołu Ikimonogakari, Kiyoe Yoshioka śpiewa o trzymaniu się za ręce i o dzieleniu radości i cierpienia na życiowej drodze. Jednak teledyski to jedno, a życie w realu niekoniecznie wygląda tak, jak na ekranie. Trudno na tokijskiej ulicy zaobserwować przejawy kontaktu fizycznego, zaś co do wspólnych przeżyć można mieć pewne wątpliwości, zwłaszcza jeśli posłuchać, co mówią żyjący w mieszanych japońsko-cudzoziemskich związkach szczęśliwcy. O tym jednak za chwilę. Trzeba zauważyć, że tryb życia i reguły, jakie narzuca japońskie społeczeństwo nie sprzyjają poznawaniu się. Kontakty towarzyskie odbywają się w grupie znanej ze szkoły, bądź z klubu hobbyistycznego, albo też z miejsca pracy. Trudno poznać jest kogoś nowego. Dlatego też wciąż cieszy się powodzeniem instytucja swata/swatki, obecna w tym kraju już w XVI wieku. Swataniem zajmują się wyspecjalizowane agencje. W roku 2010, a więc wtedy, gdy mieszkałam w Japonii, ponad 5% zawartych związków małżeńskich było dziełem tych firm. Znajoma Japonka opowiadała, jak jej rodzice, chcąc w końcu wydać ją za mąż (miała już ponad 30 lat) wciąż przedstawiali jej jakichś kandydatów znalezionych przez omiai (swatów), kandydaci jednak, według N. byli nie do zaakceptowania, i ku wciąż większej desperacji rodziców ich córka pozostawała w stanie panieńskim.

W bajkach, jakie znamy z naszego kręgu kulturowego, kiedy młodzi pokonają już przeszkody na drodze do miłostnego spełnienia, pojawia się fraza: „i żyli długo i szczęśliwie”. Na ogół autorzy bajek nie precyzują, na czym owo szczęśliwe życie polega. W Japonii przybiera ono szczególną postać. Mimo, iż warunki ekonomiczne coraz częściej wymuszają pracę obojga małżonków, wciąż jeszcze modelem często spotykanym jest podział na zarabiającego na życie mężczyznę i wychowującą dzieci kobietę. Tak naprawdę to kobieta zawiaduje funduszami i dba o to, by zaspokoić bytowe potrzeby rodziny, a przy okazji ... swoje. Oszczędne gospodarowanie pensją męża pozwala jej na wyjścia do kawiarni z przyjaciółkami, podczas gdy dzieci przebywają w szkole, a mąż zajęty jest zarabianiem pieniędzy. Mężowie, aby zapewnić sobie fundusze na własne wydatki, proszą często w pracy, aby nie wypłacano im całej pensji, tylko przelewano jej część na inne, tajne konto. W ten sposób mają kieszonkowe do swojej dyspozycji. Z zainteresowaniem śledziłam wysiłki nieżyjącego już premiera Japonii Shinzo Abe (1954 – 2022), który powodowany troską o brak rąk do pracy postanowił zaktywizować kobiety. Przeprowadzono stosowny sondaż i okazało się, że młode kobiety wcale nie pragną włączenia ich w kierat praca, a po godzinach jeszcze raz praca, tylko w domu. Po urodzeniu dziecka mąż na długi czas odsunięty jest na boczny tor. Japońscy mężowie są do tego przyzwyczajeni i organizują sobie czas udając się na treningi aikido albo kultywując inne hobby w wolne od pracy dni. O wiele boleśniej przeżywają taki stan rzeczy mężowie Japonki - cudzoziemcy. Nawet jeśli ich szef nie wymaga obecności w biurze do późnych godzin nocnych, to taki nieszczęśnik próbuje zagospodarować sobie czas poza domem, aby nie drażnić zajętej dzieckiem żony. Podobne katusze przeżywał jeden ze znajomych Polaków. Ze względu na charakter pracy mógłby wracać do domu już o 17.00, przekonał się jednak, że nie jest mile widziany przez żonę o tak wczesnej porze, wymyślał sobie inne spo-

soby spędzania czasu. Aikido było mu jednak jako cudzoziemcowi obce... Nie należał on do wyjątków. Inni cudzoziemcy też skarżyli się na taki obrót rzeczy. Z kolei kobiety-cudzoziemki zamężne z Japończykami nie mogły przekonać mężów do wspólnego spędzania ważnych dla nich świąt, czy po prostu wolnych dni. System życia społecznego zresztą bardzo skutecznie takie pomysły utrudnia. Kiedy dziecko zaczyna chodzić do szkoły, obowiązkiem matki jest branie udziału w zajęciach weekendowych – najczęściej są to zajęcia sportowe (choć nie tylko) i przygotowywanie posiłków dla biorących w nich udział dzieci. Zamiast rodzinnych spacerów jest plotkowanie z innymi matkami i śledzenie wyczynów pociech na boisku. Czasami tylko w takie akcje włączani są ojcowie, np. wtedy, gdy trzeba zorganizować obóz sportowy i stawiać namioty w plenerze.

Miłość małżonków może, lecz nie musi być obecna w związku. Jej faktyczną obecność (albo brak) dostrzec można w momencie, gdy mąż przechodzi na emeryturę. W wieku sześćdziesięciu paru lat małżonkowie często się rozwodzą, bo okazuje się, że są dla siebie obcymi ludźmi. Jest to smutne, oznacza samotność na najtrudniejszym odcinku życia i - zwłaszcza dla kobiety – życie w ubóstwie.

Danuta Zasada



Artystyczne penetracje malarskie - Jakub Godziszewski

Jakub Godziszewski - Ostrowianin, rocznik 1989. Absolwent I Liceum Ogólnokształcącego odznaczony honorowym tytułem Alma Mater Ostrovensis. Absolwent Wydziału Pedagogiczno-Artystycznego w Kaliszu Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu (Malarstwa -2012 i Edukacji artystycznej - 2014). Wielokrotny stypendysta Rektora UAM.



Cykl orientalny:

Laureat nagród, wyróżniony tytułem Osobowość Ostrowskiej Kultury (2015 i 2018); uhonorowany także Laurem Kultury przez Starostę Ostrowskiego (2020) Zajmuje się malarstwem, rysunkiem oraz pozłotnictwem płatkowym. Interesuje go kondycja człowieka oraz estetyka ludzkiego ciała. W poszukiwaniu inspiracji sięga też do świata przyrody, balansując między jawą, a snem.

Czerpie ze zdobyczy warsztatowych dawnych mistrzów praktykując żmudne i czasochłonne malarstwo laserunkowe, sfumato, nierzadko uzupełniane płatkami metali szlachetnych i półszlachetnych.

Autor wystaw indywidualnych oraz uczestnik wielu wystaw zbiorowych w kraju oraz poza jego granicami, m.in.: w USA, Szwajcarii, Hiszpanii, Francji, Wielkiej Brytanii, Białorusi czy Włoszech.

jakubgodziszewski.pl





Na próżno szukać tu dokumentalistycznej wierności przedstawienia sytuacji i ludzi. Cykl orientalny to subiektywne spojrzenie oparte na zakorzenionych europejskich wyobrażeniach Dalekiego Wschodu. Orient widziany przez pryzmat zachwyty nad

artefaktami – śladami człowieka z odległych miejsc i czasów.

Przefiltrowana przez oko malarza egzotyczna estetyka staje się pretekstem do budowy autonomicznej wizji rzeczywistości oswojonej z ram czasu i przestrzeni.



Poszukuję w niej głównie uniwersalnych pierwiastków piękna człowieka – zarówno w wymiarze cielesnym, jak i niematerialnym – dotykając jego sfery emocji, relacji zaklętych w gest, pozę oraz symbol





*Zdjęcie artysty podczas pracy - Jakub Godziszewski.
Fot. Archiwum autora.*



Puls Brukseli

Beata Bednarowska - z wykształcenia germanistka i anglistka, absolwentka Studium Integracji Europejskiej, pasjonatka dobrej książki, kina i fotografii.

Bruksela – stolica Belgii, kontynentu, wielokulturowości, serce instytucji unijnych - jak bije jej tętno i jak wygląda tkanka tego miejsca? Zwiedzając miejsca i miasta, chłoniemy je różnymi zmysłami. Smaki, zapachy, widoki, odgłosy - rejestrujemy je w pamięci i zapisujemy w przeżyciach. Te z kolei, jak i ogólne skojarzenia, mogą być pozytywne lub negatywne, mieć wymiar ogólny lub prywatny.

O skojarzenia z Brukselą zapytałam moje znajome i moich znajomych. Dla wielu z nich kojarzy się to miasto głównie z polityką europejską, Parlamentem i Komisją UE, ze „stolicą Europy, celem turystycznym, miastem o wielu wymiarach”, jest to „jedyna stolica europejska, którą można zwiedzić pieszo”, „miejsce, gdzie krzyżują się kultury francuska i holenderska”, dla innych jest to „źródło problemów”, „element podróży poślubnej”, „ciekawe położenie ge-



opolityczne”, „tunele, Atomium, ratusz, Park Kennedy’ego, konsulat RP – najbezpieczniejszy budynek w Brukseli, Stadion Heysel, katedra, korupcja...” , „Bruksela kojarzy mi się z czekoladą, ale samo miasto jakoś szczególnie mnie nie urzekło..”, „ ... z van Dammem, z UE i problemami, jakie urzędnicy stwarzają Polsce, ale też z Brueglem, Królewskimi Muzeami Sztuk Pięknych, wspaniałymi dziełami mistrzów malarstwa i innymi muzeami, katedrą św. Michała i św. Goduli, kościołem Notre Dame, Manneken pis, koronkami, czekoladą, goframi i frytkami



z majonezem”, były też głosy, iż „Bruksela to absurdy ustroju administracji europejskiej, enklawy niebezpieczne, w które nawet policja boi się wejść..”.

Moja belgijska przyjaciółka mieszkająca w Brukseli twierdzi, iż jej miasto jest z jednej strony otwarte i tolerancyjne wobec innych kultur, z drugiej jednak jest to też miejsce wielu społecznych napięć. Duża jest stopa bezrobocia, prawie połowa dochodu brutto to są podatki dla państwa. Silne związki zawodowe często okazują właśnie w stolicy swoje niezadowolenie, tak więc miasto jest nierzadko miejscem różnych strajków i demonstracji. Bruksela jest siedzibą międzynarodowych instytucji (PE, NATO). Znajoma zauważa, iż ciekawym jest fakt, że wielu urzędników pracujących w tych instytucjach nie mieszka w Brukseli, lecz we Flandrii lub Walonii, a w Belgii płaci się podatki nie tam, gdzie się pracuje, lecz w miejscu zamieszkania. Atutami miasta są na przykład: ładne historyczne budynki (rynek i jego otoczenie) oraz dużo zieleni i parków. Muzea i galerie sztuki można zwiedzać bezpłatnie w pierwszą niedzielę każdego miesiąca. Interesującym jest fakt, iż osoby niezamożne mogą za 1 Euro chodzić do kina, teatru lub na koncert. W ten sposób państwo wspiera zarówno artystów, sztukę, jak i uboższych mieszkańców. Jest to taki rodzaj „wsparcia” nie tylko finansowego, lecz rów-



niez psychologicznego, gdyż udział w kulturze ubogaca nie tylko w przeżycia artystyczne i estetyczne... Wszystkie muzea w Belgii są cały rok bezpłatne dla osób pobierających zasiłki socjalne, a dla grup szkolnych i organizacji tanie.

Dwa moje pobyty w stolicy Belgii miały różny charakter: pierwszy - prywatny i dłuższy w lecie, drugi - krótki, edukacyjny w listopadzie ubiegłego roku. Za każdym razem poznawałam prawdę o tym miejscu, wyczuwałam jego puls. Każde miasto jest inne i inaczej się je poznaje, a ja nie chciałam jedynie oglądać zabytków... Bruksela nie tylko pachnie frytkami i goframi, a Atomium i mały siusiający chłopiec przy Grand Place nie są jedynymi atrakcjami turystycznymi. Miasto to jest miejscem specyficznym, wielowymiarowym ze względu na historię oraz współczesność, style i epoki, tożsamości i języki mieszają się.

Bruksela, choć o połowę mniejsza od Warszawy, pulsuje rytmem dużego miasta, a jednocześnie pozwala na bliski kontakt z przyrodą. Tkanę stolicy tworzy architektura, parki i tunele. Najdłuższy z nich ma dwa i pół kilometra i przez 35 lat nosił imię króla Leopolda II, który zapisał się czarną kartą w historii stosunków belgijsko-kongijskich. W mieście widać kolory. Murale zdobią ściany domów, w kolory tęczy pomalowane są przejścia dla pieszych. Pałac królewski, otoczony parkiem, pilnują ze wszystkich stron stojące przy bramach i na cokołach lwy.

Brukseli nie zniszczyła wojna, stoją tu nietknięte budowle i kamienice. Są one często wąskie i „pną się w górę”, strych to kolejne piętro, dawniej mieszkalne. Przed wojną w tych pokojach mieszkały służące. Dzięki bogactwu z byłych kolonii, niektóre rodziny wzbogaciły się, a postawienie kamienicy w centrum miasta stało się oznaką przynależności do klasy średniej. Na ścianach domów widnieje często nazwisko twórcy kamienicy. Władze miasta oferują dopłaty do ... zazieleniania dachów, co jest to ciekawym pomysłem ekologicznym. Obraz miasta tworzą ogródki, zakamarki, eklektyzm, nieregularność, duża ilość parków i ...

pomników Leopolda II, chociaż od jakiegoś czasu krążą petycje, nie tylko w Internecie, aby te pomniki usunąć. Ciekawa architektonicznie jest koronkowa wieża ratusza przy Grand Place, w najstarszej części Brukseli.

Podobnie jak w Paryżu czy Szczecinie są w stolicy Belgii liczne ronda, od których rozchodzą się gwiazdziste uliczki. Od czasów średniowiecznych na brukselskich targowiskach można m.in. spróbować potraw z całego świata. Na ulicach niewiele jest psów, gdyż za ich posiadanie trzeba sporo płacić. Natomiast żaden inny kraj nie ma tylu miłośników gołębi, co Belgia. Słychać tu różne języki, na ulicach mieszają się mody i trendy, można być więc po prostu sobą. Napisy widnieją dwóch językach, francuskim i niderlandzkim. Inspiracje poezją w przestrzeni miejskiej można znaleźć w sztuce użytkowej. Przykładem jest pomnik w kształcie bardzo wysokiego krzesła, którego nogi są zatopione w betonowej płycie. Zainspirowany wierszem poznańskiej poetki Agnieszki Kuciak, stanął przy prestiżowym placu Montgomery'ego.

Mieszkańcy Brukseli nie mogą spacerować wzdłuż rzeki Senne, która płynie przez miasto, tak jak to jest w innych stolicach europejskich, w Warszawie nad Wisłą, w Paryżu nad Sekwaną czy w Londynie nad Tamizą, gdyż Brukselczycy rzekę mają „pod stopami”, jest ona zamurowana, płynie pod ulicami miasta... Będąc pierwszy raz w Brukseli zdziwiłam się, gdy zobaczyłam, jak wiele parasoli jest w przedpokoju moich znajomych, po kilku dniach moje zdziwienie minęło, gdyż zauważyłam jak często pada tu deszcz. Później zaś spostrzegłam na ulicach, że prawie nikt ich nie otwiera i deszcz jest już po prostu... ignorowany.

Wystarczy choć raz udać się do Belgii, aby zakochać się w sklepach z czekoladą obecnych na każdym rogu ulicy. Belgijskie praliny są znane na świecie, jest ich szeroki wybór, witryny sklepowe cieszą oko, a ich smak podniebienie.

Podczas mojego drugiego pobytu w Brukseli zwiedziłam m.in. Dom Historii Europejskiej, Parlament Europejski oraz miałam możliwość spotkania się i rozmów z przedstawicielami polityki europejskiej. Dom Historii Europejskiej jest innowacyjnym muzeum w budynku dawnej kliniki dentystycznej w stylu art déco, w Parku Leopolda. Polecam tę podróż przez historię Europy na tle wcześniejszych stuleci, które kształtowały jej wartości i cele. Wystawa jest dostępna w 24 językach, a wstęp do muzeum, będącym miejscem pamięci europejskiej, jest bezpłatny.

Kopuła Parlamentu Europejskiego z daleka błyszczy w słońcu. Na placu Luksemburskim widać i słychać międzynarodowych pracowników unijnych. Parlament Europejski reprezentuje 500 mln ludzi, sala posiedzeń plenarnych jest jego sercem. Zwiedzając tę salę można zdobyć wiedzę o funkcjonowaniu Parlamentu, poczuć jego atmosferę oraz dowiedzieć się, jak pracują posłowie. Wizyta indywidualna trwa 30 minut, grupowa 90 minut. Mnie jako językowiec interesowała praca tłumaczek i tłumaczy symultanicznych podczas obrad, czy dostają one/oni przed sesją obrad materiały, które będą omawiane, przedstawiane i przez nich tłumaczone. Dowiedziałam się, że nie - jest to tłumaczenie „bez przygotowania”, wyjątek stanowią specyficzne i bardzo fachowe teksty, wtedy jest możliwość wcześniejszego zapoznania się z tekstem, który będzie tłumaczony podczas obrad sesji.

Podczas spotkań z przedstawicielami polityki europejskiej, strategicznymi tematami stały się zagadnienia autonomii Europy i jej bezpieczeństwa, ogólnie geopolityki. Jak może się utwierdzić w świecie „model europejski” w obliczu globalnych napięć? Jakie decyzje strategiczne, dyplomatyczne i geopolityczne mogłyby być podjęte, żeby Europa była ważnym i przyszłościowo pewnym „graczem” na scenie międzynarodowej? Chodzi o rolę Europy w świecie i jej pozycjonowanie się, przy czym ważne są nie tylko interesy ekonomiczne, ale

też wartości. Świadomość znaczenia tych problemów jest obecna w polityce europejskiej. Podkreślana była ważność kooperacji, ale znalazły się też głosy, że ostateczne decyzje leżą po stronie samych państw, w ich krajach. W europejskim domu są różnice wśród państw członkowskich. Ważna jest współpraca instytucji UE z NATO oraz ujednoczenie szybszych dróg decyzyjnych tych dwóch organizacji. 21 krajów należy obecnie do NATO, przy czym stosunek władz i społeczeństw do tej organizacji jest różny. UE znajduje się w polu napięć takich państw, jak USA i Chiny. Badacze pokoju doliczyli się obecnie ok. 120 mniejszych lub większych konfliktów siłowych na Ziemi. UE jest więc globalnym „aktorem” w zmieniającym się porządku świata. Podczas rozmów jednym z głównych tematów była wojna i sytuacja na Ukrainie: z jakimi wyzwaniem przychodzi i przyjdzie zmierzyć się Europie i UE, np. zadłużanie się Europy, wspólne możliwości militarne państw członkowskich, wymieniana była ważność ustaw dotyczących tzw. łańcuchów dostaw.

Bruksela, miasto, które po 1830 roku stało się stolicą Belgii, potem stolicą Europy jest miejscem wielu kultur, miastem, w którym mieszkał słynny myśliciel Erazm z Rotterdamu oraz jeden z najważniejszych malarzy renesansu - Pieter Bruegel. I choć coraz rzadziej cieniem ciszy kładą się następstwa ery kolonizacyjnej, warto zarówno zgłębiać przeszłość, jak i poznawać wszystkimi zmysłami teraźniejszość Brukseli, poczuć jej tętno, bo życie płynie...

Beata Bednarowska

Autorem zdjęć jest Bartek Bukowski.



Fotografia
Ostrów Wlkp.

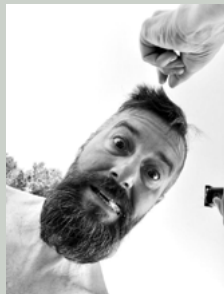


15

PERIODYK LITERACKO - KULTURALNY
NR 1 (7)/ wiosna - lato 2023

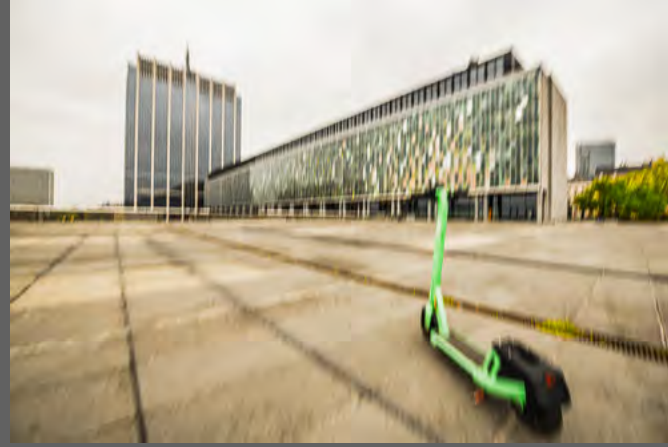
Wojciech Kempa

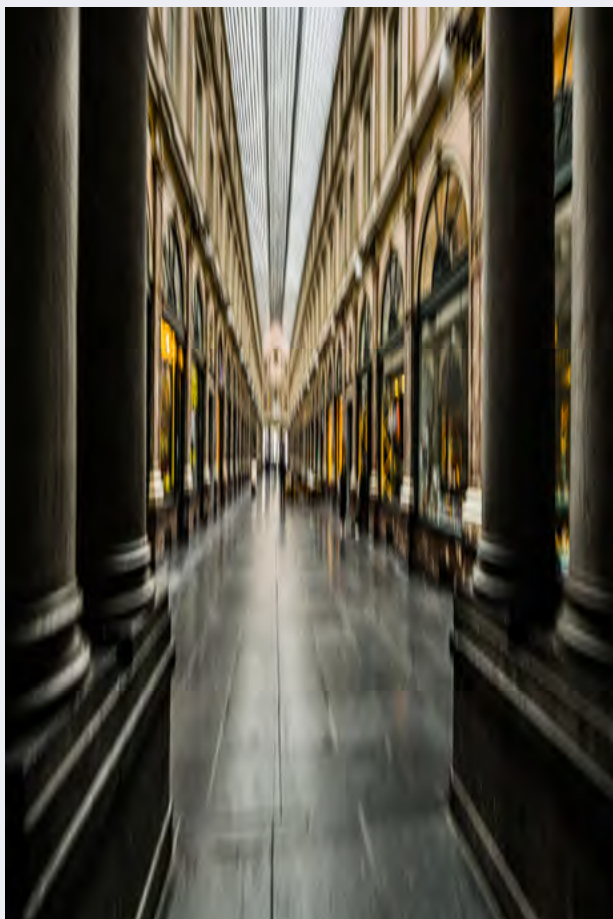
Fotografia jest moim środkiem wyrazu, dostrzegam piękno i wyjątkowość we wszystkim co mnie otacza. Staram się uchwycić to na fotografiach i pokazać poprzez swoją wrażliwość

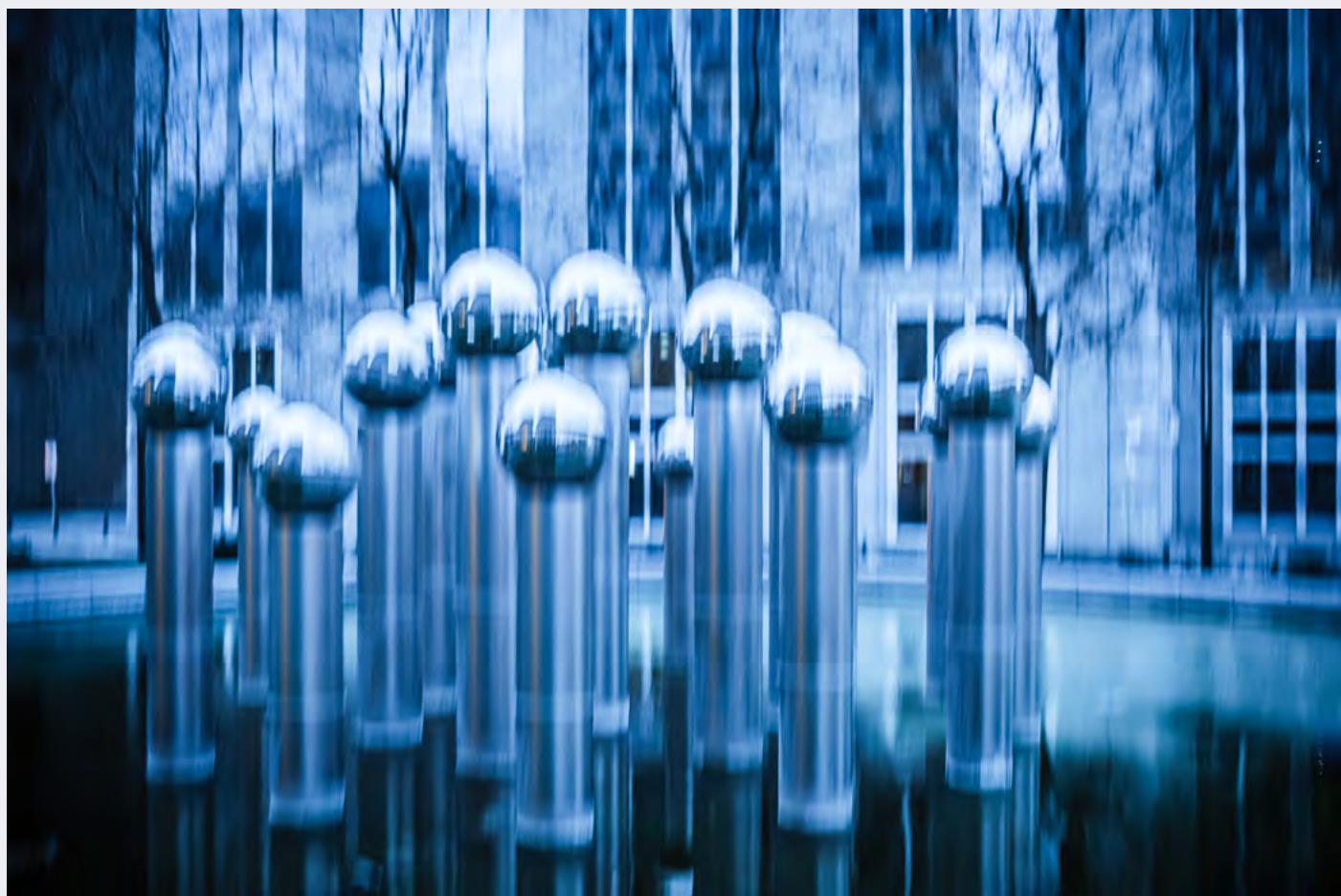


Poruszająca Bruksela











TWARZ W SADZIE ALBO GRUSZKI św. AUGUSTYNA. *Andrzej Mularczyk*

Judasz powraca

Kiedy przyszedł i skinął na mnie ręką poszedłem za nim bez wahania. Dla kogoś stojącego z boku mogło to wyglądać tak, jakbym poddał się hipnozie jego oczu. Ale tak nie było. Nie miałem ochoty. Chciałem być sam albo z kobietą. Nie potrzebowałem ludzi i ich mądrości. Wokoło wszyscy jej szukają, tak jakby celem człowieka było znaleźć ją przed śmiercią. A to nieprawda, każdy bóg kocha jednakowo głupich jak i mądrych, a może głupszych nawet bardziej? Zdaje mi się, że poszedłem za nim bardziej z nudy i z powodu beznadziejności, jaką niesły ówczesne czasy. Wolałem iść niż trwać w miejscu, dlatego byłem blisko niego. Kiedy mówił, zdawał się być jak bóg, jak filozof, jak mesjasz, prorok czy ojciec. Lubiłem obserwować, jak porusza tłumy. Przystawałem słuchać i patrzyłem, jak tłum zmienia się w falujące zboże i staje się jednością. Nie potrzebowałem wtedy słów, wystarczyły mi obrazy. Symbole wyjaśniały wiele. Początek łączył się z końcem i to wszystko nabierało logicznego sensu. Nie był on w słowach, ale w z każdym osobna. Był i we mnie. Odczucie stawało się wiarą, a wiara była pogodzeniem.

Prawda, dałem się upić jego mowie. Ale nie chciałem być trzeźwy, bo wtedy musiałbym się miotać i walczyć o wszystko ze wszystkimi. A tak obok niego ukryty byłem sobą, bo byłem jego uczniem i mogłem jeszcze mieć wątpliwości. Przyglądać się, pytać i błądzić. Wiedziałem, że poda rękę, kiedy tylko okażę się słaby. To mnie przy nim trzymało, ta mocna dłoń, która wyciąga topielca z wody. Nie wyobrażałem sobie, że może być inaczej. Czułem jego wielkość i kiedy mówił, że jest królem, wierzyłem mu. A kiedy mówił, że jego królestwo nie jest z tego świata pragnąłem, żeby kłamał. Królestwo powinno być jak najbliżej. Tego oczekiwałem. Dlaczego miałem czekać? Tego nie potrafiłem zrozumieć. Dopiero kiedy z nim przeszedłem, wiele mil podróży, zaczynałem chwytać ukryty sens jego królestwa. A może mnie tylko zwiódł. Ułożył swoimi pięknymi słowami. Tak je prowadził, że chciałem, żeby świat był taki, jak opowiada. Tak, chciałem, żeby taki był. Ale czy to możliwe? Czy należy aż tak daleko sięgać? W obszary, w których człowiek się nigdy nie znajdzie? Może łatwiej byłoby go zbawić, gdyby tylko trwał w harmonii z innymi? Takie wątpliwości mnie nachodziły.

Mówił mądrze, ale wątpliwości nie omijały mnie. Chciałem być uległy, lecz nie potrafiłem. W myślach wciąż burzyłem jego autorytet. Potem wprowadzał mnie na właściwą ścieżkę. Lecz ja i tak od czasu do czasu musiałem zwątpić. Byliśmy przecież ludźmi. Nogi niesły nas przed siebie. Ręce zanurzały się w wodzie, by opłukać twarz i ugasić pragnienie. Razem stawaliśmy przed krzakiem tamaryszku i oddawaliśmy ziemi co ziemskie. Przyglądałem się mu z uwagą. Był taki sam jak ja. Jego strumień bił wysoko w górę. A przecież ani razu nie wspomniał o miłości z kobietą. Jakby mu nie zależało, by przedłużyć nasz ludzki gatunek. By ten trwał i rozwijał się. Czyżby nie był z ziemi, lecz z kosmosu? Na to wyglądało. Czyżby był tylko człowiekiem i nic ze zwierzęcia? Także bym tak chciał, oddzielić się od rzeczy docze-

snych, siedzieć pod palmą, patrzeć w gwiazdy i widzieć w nich obrazy swojego dzieciństwa. Gdy patrzyłem tam, gdzie sięgał jego wzrok, tylko wielkie niewiadome we mnie się przewalały i byłem jak ten osioł, co nie chce odejść od studni. Niczego nie widziałem, same domysły tłoczyły się w dzikim chaosie. Czy zasługiwałem na takiego nauczyciela? Logicznie byłoby powiedzieć, że nie. Ale przecież wszystko, co wokoło niego się działo, nie logiką się mierzyło, ale nadzieją. Nadzieją na to, że uda się wybrnąć z labiryntu, w jakim człowiek sam siebie zamknął. Pobiec radośnie przed siebie jak dziecko i nie znać pytania i nie znać odpowiedzi. Cieszyć się radośnie jagnięciem.

Ale dzieciństwa nie można przecież przedłużać w nieskończoność. Jesteśmy tu na ziemi wyznaczeni każdy do jakiegoś celu. Jedni tylko po to, by stać się nawozem dla następnych. Ofiarą dla złoczyńców, czy pożywieniem dla dzikich zwierząt. Dla mnie także los wyznaczył jakąś rolę. Długo na ten temat nawet się nie zastanawiałem. Żyłem sobie pomiędzy jasnością a ciemnością. Żyłem i w ciemności. Wszędzie tam szukałem przyjemności i spokoju. Nie zdawałem sobie długo sprawy z zawilości losu, jaki nam jest szykowany. Im bardziej pragniemy żyć spokojnie, tym większe zagrożenie pojawia się. Im bardziej chciałem być anonimowy i ukryty w ciemności własnego życia, tym bardziej byłem wynoszony pomiędzy ludzi i stawiałem się ich narzędziem.

On także był dla mnie niespotykane uprzejmy. Taki był dla wszystkich, chociaż zdawało mi się, że dla mnie jakby bardziej? Kiedy zostawaliśmy sami, gdy wszyscy już spali, zasypiał z nas najpóźniej. Może nawet nigdy nie spał, tylko zamykał oczy i myślał? Albo przeglądał pod powiekami obrazy, które nam nie będzie dane nigdy zobaczyć?

Wtedy miał dla mnie tak wiele czułości. Gładził mnie po głowie, dotykał ramion. Miałem uczucie ulgi i jego bliskości chociaż w tym czasie siedział w drugim końcu gaju oliwnego i patrzył w gwiazdy. Czy czytał z nich przyszłość, los, jaki spotka każdego z nas? Czy może on wszystko już wiedział? Wszystko znał? I tylko się temu pozwalał dziać? Coś się musiało wypełnić, żeby pozostało coś. Taki jest nasz prymitywny los. Coś się musi wydarzyć kosztem czyimś, by potem ktoś mógł być lepszy od innych. Nie mogą być wszyscy dobrzy, sprawiedliwi i naznaczeni charyzmą, ale dla ich chwały ktoś musi być skazany, może tylko wyznaczony. Trzeba znaleźć potępieńca, by odnaleźć świętość. Jedno bez drugiego nie istnieje. Świętości nie ma bez grzechu. Grzech musi być najpierw i zadać cios, by potem stać się godnym modlitw. Dlaczego stanąć musiałem po tej stronie? Czy bóg nie mógł mnie wybrać, a jego skazać na zdradę? Byłbym równie dobrym wzorcem. Gdyby tylko mnie wybrał, ale nie, wolał to dać tamtemu ciału. Moje poświęcił, równie tragicznie jak jego. Także umarłem. Moja śmierć była gorsza, sam musiałem ją sobie wymierzyć. Mogłem tego nie uczynić. Mogłem odejść gdzieś w dalekie kraje. Do mistycznego wschodu. Tam odnaleźć spokój. Zbratać się z innym bogiem. Jemu nieść sztandary. Jemu śpiewać pieśni pochwalne. Kwiaty lotosu sypać do jego stóp. Gdybym był wytrwały i cierpliwy, może też stałbym się cierpiętnikiem wybranym. A tak muszę być czarnym bohaterem. To dzięki takim jak ja, wielu dostępuje boskości. Tylko wciąż nie potrafię zrozumieć, jaka jest w tej historii moja rola? Czy to ja sam dokonałem tych niegodnych czynów, czy one już dawno przez to, że były zapisane w górze musiały się stać? Zostałem stworzony, żeby czynić zło, a nie dobro. A więc zostałem stworzony jakby wbrew mnie samemu. Bo moim naturalnym odruchem zdawało się być poszukiwanie lepszej strony człowieczeństwa.

Kiedy mówił i poruszał tłumy, to coś w sercu ścisnęło. Tak chciałem być nim. Przecież wszystko we mnie było takie same. Logika, jaką mierzyłem świat była taka sama, była to logika życia, a nie śmierci.

Świętość się wyświęca podwójne, a przez morderstwo można nawet zło wyświęcić. Czym jestem, służą diabła czy archanioła? Postępuję tak, jakbym nie miał własnej woli. Wbrew wszelkiej logice. Ale ta logika jest logiką wyższego rzędu. Jest bluźnierstwem myśl, że można ją ująć naszym ziemskim zmysłem. Trzeba się od niego oddzielić. Dostać skrzydeł, wznieść się ponad chmury, stanąć lekkim na chmurach, jakby stało się na twardej skale i stać pewnym. Stać jak opoka i patrzeć wzrokiem mędrca na wszystko, co pod stopami. Nigdy nie stałbym się rozumnym starcem. Nie było we mnie nic z proroka. Jedyne przyjemność, jaką niosło ciało mogła kierować moim postępowaniem. Ale dlaczego nie mogłem czuć przyjemności z czynienia dobra? Tylko korciło mnie zło? To jest pytanie, na które nikt nie jest w stanie mi odpowiedzieć. Ale jestem uparty, zadam je w dniu sądu ostatecznego. Wielu takich jak ja będzie chciało usłyszeć odpowiedź na to pytanie. Bo przecież połowa z nas przeznaczona jest złu, by ta druga połowa przeznaczona została dla dobra? Czyż tak nie jest?

Nie uśmiechaj się słuchaczu. To tylko tobie wydaje się, że znajdujesz się po tej lepszej stronie dualizmu. Ale kiedy obudzisz się w piekle, wtedy i ty zadasz to pytanie. Ale wtedy może być za późno. Trzeba je zadawać zaraz po urodzeniu. Wciąż szukać. Bo w szukaniu prawdy jest sens, a nie w jej posiadaniu. To jest moja dewiza. Mój grzech wiedzie mnie przez stulecia, tysiąclecia niosę go na swoim grzbiecie. Czynię go jeszcze raz, by zaprotestować. Jeszcze raz zdradzam. I strzelam do kapłana w czarnym ubraniu. I topię go w wodzie jeziora, by stał się świętym. Gdyby nie ja, on wciąż byłby tylko ciałem, które mówi, ciałem, którego dusza usiłuje poruszyć tłumy, ale te tłumy są nieme. Stoją zbite w wielką masę i wyglądają niczym rośliny. Gdy się na nie patrzy, nie wiadomo, czy cieszyć się, czy smucić. Gdyż tłum jest podobny łanowi zboża. Nadchodzi czas żniw i ścina się go i odchodzi w zapomnienie. Znów staje się glebą. Biologicznym systemem pokarmowym. Nic, co było w duszach, nie pozostaje. Rozmywa się. Nawet książki i obrazy artystów stają się tylko martwą naturą. Nie widzę w nich człowieka, są tacy, co czują w tym ducha, ale ja myślę, że oni kłamią? Niczego nie czują poza rozpaczą przepływającego czasu.

Tylko, że to ja jestem wzgardzony. Skazany na wynoszenie innych na świętości. Ja muszę całować, topić kapłana w czerni i strzelać do człowieka w bieli. Przecież już dawno było powiedziane, że strzelę. Dzieci to już wiedziały. Dzieciom to zostało objawione. A dlaczego nie mnie. Dlaczego matka nie przyszła do mnie i nie powiedziała, żebym uważał i postarał się o to, żeby tego nie zrobić? Jest zapisane w górze, że strzelisz, spróbuj opanować emocje i nie zrób tego. Ale to jest niemożliwe. Ktoś musiał strzelić. To ja zostałem wybrany. Zmowa milczenia trwała wokół mnie. I było w niej coś ze wstydlivosti i rysa na charakterze najwyższego. To ja Judasz jestem jego sumieniem. I będzie musiał wyjaśnić mi, dlaczego? Kiedy przyjdzie dzień sądu ostatecznego, wyduszę z siebie to wielkie i nigdy nie milknące słowo – dlaczego? Nie ma dla mnie ratunku, chociaż czas płynie, będę się odradzał i wciąż darował pocałunki osobom najbliższym, a one wbrew mnie będą gorzkie i ostre jak cierń róży, który ranić będzie do krwi miejsce całowane. A przecież jest we mnie tyle nadziei, czekam na to, by ktoś spojrzął na mnie jak na ofiarę, a nie zdrajcę. Czekam na tę dobrą wolę, której powinni uczyć się sędziowie. Jest ich tysiące. Więcej sędziów niż winnych. Jak przed nimi bronić się, kiedy ich natura potrzebuje ofiar? W poczuciu sprawiedliwie wydawanych wyroków.

Może zabrzmi to paradoksalnie. Zabrzmi jak herezja herezji. Herezja podniesiona do dziesiątek potęg herezji? I jeszcze raz pomnożone to przez kilka potęg. I potem jeszcze raz pomnożone, tak jakby sięgnąć nieskończoności. Może to tak zabrzmi? Na pewno tak zabrzmi, ale chcę to powiedzieć. Nie od razu przecież Rzym zbudowano. Wieki mijały nim stał się pierwszym miastem świata. Tak samo to, co powiem musi brzmieć przez tysiąclecia, by mnie



Pałac Abzu

Przemysław Kulczak

Działo się to w niezmiernych głębinach. Tam, gdzie dno oceanu uformowało się w rozległą piaszczystą równinę.

Równina poprzetykana była złocistymi wydmami o smukłych zboczach usypanych przez podwodne prądy. (...) Gdyby rozejrzeć się po pozostawionych przez dawne trzęsienia ziemi szczelinach, łagodnych już po tylu latach i obrośniętych żółciutkimi śluzoroślami, ponurymi grzybami trzęsieleł oraz miłymi w dotyku gąbkami, można by było uraczyć się widokiem falujących wachlarzy wątrobowców. Kielichy ich cudownych kwiatów wiły się na giętkich łodygach jak młode węgorze i zdawały się tańcować do jakiejś podwodnej muzyki, która po nadstawieniu ucha rzeczywiście dała się dosłyszeć.

Idąc w kierunku źródła muzyki nie sposób było nie wspiąć się na jedną z okolicznych wydm. Jej nagi, posępny szczyt zapadał na duszy jakimś melancholijnym smutkiem, ale wszystko wynagradzał widok. Bo oto rozpościerała się panorama na całą okolicę. Ukazywały się hektary pofałdowanych łagodnie łańcuchów drobnych wyniesień skalnych o wysokości metra, a może nawet mniej. (...) Pomiędzy koronami wysokich palm podmorskiego daktyla, obwieszonych obficie opalizującymi bursztynowymi owocami prześwitywały świeże dorodne płaty bananowców słonowodnych, które rodziły kiście złotych półksiężyców. One właśnie, wespół z daktylami, niczym latarnie uliczne oświetlały wijącą się po równinie drogę.

Dokąd prowadziła? Żeby się o tym przekonać, należało podjąć jej wyzwanie. Kroczyło się długo po twardym bruku wysadzonym oceanicznym kamieniem szlachetnym oraz błękitnymi skorupami wielkich słuchawek telefonicznych. A nie, pomyłka, to nie były żadne słuchawki. To były najprawdziwsze muszle. (...)

Dróżka zawiodła nas na kolejną i kolejną wydmę, jak gdyby specjalnie droczyła się z wędrowcem, kierując go po wszelkich napotkanych nierównościach. (...)

Nad głową wisiała ciemność. Jej brzemień mogło przytłoczyć, bo mało co ją rozjaśniało. Gdzieś bardzo wysoko skrzyły się i błyskały niewielkie złote gwiazdki. Może to meduzy, może ośmiornice, a może jeszcze inny bies? Nieważne, scyntylowały tak bajecznie, że wzrok nie lękał się ani trochę ciemnej i ponurej toni wodnej w górze. Pragnął przenikać jej kobaltowe masy i poszukiwać kolejnych iskierek tego oceanicznego nieba.

Prąd morski zmierzwił włosy jak niespodziewany podmuch wiatru, a razem z nim w twarz uderzyła ławica małych rybek szprotek pilotowana przez kałamarnicę. Dziwne tu panowały porządki. Stworzenia rzadko się pokazywały. Kilka razy wydawało się, że za omszałym głazem chowa się jakiś oślizgły pomiot głębin. Bywało też, że zza bulgoczącego płaskiego kamienia jakieś rozżarzone ślepia na wyciągniętych czułkach obserwowały wędrowca, jak gdyby sąsiadka przylazła w ślad za nim na dno oceanu, by dalej szpiegować każdy jego krok. Gromadka ośmiornic ścigała się ze sobą, odpychając się rażno odnóżami i prawie trując przygodnego konika morskiego. Jedna płaszczka wywijiała nad wydmą takie piruety, że aż

straciła równowagę i władowała się prosto w polankę obrośniętą gąszczem kolczastych opuncji. Kiedy wygramoliła się spośród ich uszatyh liści wyglądała jak jeżozwierz albo pokryta igłami kolczatka. Ze łzami w oczach i szlochem na ustach wyprysnęła ku kamiennej wnęce, gdzie ojciec tupał już nogą, by z satysfakcją wybulgotać swoje „A nie mówiłem?” Czy jest tu ktokolwiek, kto utrzymuje na owej równinie porządek?

Jest. Zbliżamy się do wielkiego gmachu, którego ostre strzeliste zarysy już od pewnego czasu widniały na ciemniejącym horyzoncie. To pałac zarządcy tych włości. Wokół jego murów słyhać chrzęst krabowatych skorupiaków, które spacerując wzdłuż i wszerz po przymurzu stukają swymi szczypcami i poszukują spadających z flanków małży. Na wszystkich czterech wieżach wejściowych wartę pełnią dzielne lwy morskie o najwydatniejszych grzywach w królestwie. Ich szkarłatne czupryny rozwiewają się, gdy zawracają po dojściu do końca muru. Ze szczytów baszt zbudowanych z kamiennych bloków czuwają jakieś wielkie płetwate rybska o długich i ostrych kłach. Ich zębate paszczęki szczerzą się nieustannie, by straszyc przybyszów, jak gdyby cierpiały na suchość w ustach i musiały się ciągle nawilżać.

Dotarliśmy do imponującej bramy wejściowej. Jest zbudowana ze wzmocnionego spiżem drewna, wysoka na metrów pięćdziesiąt, łukowato zwieńczona i gruba na osiem długości rekiniej płetwy grzbietowej. Cztery olbrzymie pulsujące galarety unoszą się i opadają, takując nas beznamiętnym spojrzeniem. Włosowate czułki o długości dwóch metrów falują im spod szerokiego parasola. Mimo że nic nigdy nie mówią, za każdym razem dreszcz przechodzi po ciele, gdy trafi się przed ich oblicze. W końcu jednak ich żółtawe, tłące się cielska niechętnie składają ukłon i otwierają wrota. (...)

Można się przerazić wielkością i przepychem owego pałacu. Wygląda jak olbrzymia góra albo świątynia stworzona na cześć wszelkich boskich sił. Zbudowano go w osobliwym miejscu, na skraju głębokiej otchłani, tak jakby to była granica lądu i morza. Pałacowe fundamenty sięgają ponoć najgłębszych słodkowodnych otchłani. Na dachu pręży się błyszczący niebiański byk. Okna są olbrzymie, a ich błyszczące szyby w kształcie ośmiokątów wykonano ze szklistej masy perłowej. Wzdłuż fasady ciągną się gzymsy z lazurytu oraz rzędy monumentalnych zielonkawych kolumnad – po prawej stronie muskularni atlanci o twarzach dumnych i pewnych siebie, a po lewej mackowłose kariatydy o obliczach pogodnych, spokojnych, zadziornie syrenich. Wszystkie mury zbudowano z kamiennych bloków pokrytych srebrem, a do tego przyozdobiono kuleczkami pereł i potężnymi uszami muszli, które szumią syrenią muzyką. To właśnie tę muzykę było słyhać z oddali. (...)

„ABZU”. Cztery litery uformowane z rzędów mieniących się złotych pereł, poprzetykanych nitami wyjętymi z umocowań statków, które zatoneły w okolicy. Niebawem to historia, że nazwę pałacu zaprezentowano w taki sposób, tuż nad drzwiami wejściowymi z masywnego drewna eukaliptusów morskich. Ale należy przyznać, że napis wygląda zjawiskowo i błyszczy się bardziej jeszcze niż kręcące się wokół meduzy.

Kolejne cztery gigantyczne bełtwy strzegą wielkich wrót do sali wejściowej pałacu Abzu. Pulsują i jak niemi zabójcy mierzą wzrokiem, trzymając odwiedzających na muszce. Rozpoznały nas jednak, więc rozstępują się. Ich potężne parzydła dryfują na zewnątrz, a parasole o średnicy kilku metrów wydymają się, odpływając na boki. Wkraczamy do środka przez rozwierające się skrzydła wrót.

Posągi z pereł, balustrady ze złota, żyrandole promieniejące światłem najwytworniejszych bełtw i krążkopławów, wszelakie meble z muszli, a schody wyłożone dywanami z najpiękniejszych krasnorostów. Długo by opowiadać o przepychu tego gmachu. Widzieliśmy go już nie raz. Jesteśmy dość podkurzeni długą drogą i chłodnym przywitaniem. Istotnie wszyscy

tutaj wydają się być ospali. Niby żyją, a niby hibernują. Co to się stało?

Wrota do komnaty królewskiej otworzyły się z hukiem. Śpiący na mięciutkim szezlongu ze złocistych gąbek bóg ocknął się z przerażeniem w oczach, a masujące go mątwy odskoczyły gwałtownie. Wytargał się z łoża i przez chwilę wodził po przybyłej postaci spanikowanym wzrokiem. W końcu zmrużył swe piękne błękitne oczy i uśmiechnął się życzliwie. Jego rysy przestały być napięte. Wyglądziły się, a on przybrał pozór łagodnego gospodarza.

- Dzień dobry, matko Nammu - pokiwał przymilnie. – Cóż to za hałaśliwa wizyta? Przecież śpię.

- Nie interesuje mnie to, ty wiecznie śpisz - prychnęła zbywająco przybyła kobieta w średnim wieku i zaczęła przechadzać się ostentacyjnie po komnacie. Była odziana w wytworną szatę ze skóry rekinów przyozdobioną srebrzystymi odwłokami krylu i jętek. Miała lekko pozieleniałą twarz, nie wiadomo, czy ze złości, czy z natury. Na głowie nosiła szpiczastą koronę w kształcie morskich wideł, które kiedyś, dużo później, pojmie w dłoń niejaki Posejdon. Ostre szpikulce wideł jednak nie błyskały grozą, bo zatknięto na ich końcach urokliwe kulki szklanych pereł ze złota. Przez to Nammu, „matka wszystkich bogów” była jednocześnie surowa i łagodna.

Enki, bóg mądrości, wiedzy, wody, rzemiosł, stworzenia i podwodnych głębin, gospodarz Abzu, śledził wzrokiem poczynania Nammu. Ta energicznym krokiem krążyła po komnacie, zamiatając tylko połami swej szaty. Jednego z rybiogłowych sługusów zdzieliła zamaszystym ruchem sprzączki u rękawa, a dwie mątwy ocierały macki po bolesnym zderzeniu z twardą skorupą jakiejś muszli wtłoczonej w tkaninę bogini. Z gniewu świerbiły ją ręce, bo co tylko wzięła w dłoń, odrzucała bezładnie, nie dbając o to, czy się stłucze, czy nie. Gdy podeszła do okna, rozbiła już w ten sposób trzy wazony z perłowego szkła, w których rosły sobie niewinne miniaturowe aloesy. Przy stole strąciła na podłogę zestaw kielichów z najdroższych muszli małżowych, a gdy znalazła się przy komódce, potłukła kilka ramek z wyjątkowo udanymi zdjęciami Enkiego. W ostatniej chwili jeden z rybiogłowych sług wykonał efektowny sus i zdołał na instynktowne polecenie gospodarza uratować mknący ku marmurowej posadzce zabytkowy posążek bogini Inanny. Ta dopiero by się wściekła, gdyby zniszczono jej wizerunek! O mały włos! Enki odetchnął z ulgą.

- Czemu zawdzięczam twą kłopotliwą wizytę, matuchno Nammu? - zareagował, gdy kobieta zerwała z szezlonga jego puszystą kołdrę uszytą ze skóry z drogocennych odmian płetwali. Jego mocno zarośnięta twarz miała pozór zakłopotania. Wodził szeroko rozwartymi oczami za miotającą się postacią Nammu i nic z tego nie rozumiał. Przecierał tylko dłońmi zaspaną wciąż twarz. Zazwyczaj przyjmował wyprostowaną i dumną postawę, ale teraz zastało go w niekorzystnym położeniu. Nie założył korony. Pragnął się przebrać, bo przyjmowanie dostojnych gości w piżamie z węgorzy jest lekko uwłaczające... Nawet nie zauważył, że z tego speszenia zaczął się garbić, co jego postawnej sylwetce odebrało dużą dozę dostojności.

- Nie udawaj, że cię to obchodzi - mruknęła Nammu ciągle tym samym urażonym głosem.

- Obchodzi - odparł niemrawo Enki i ziewnął, po czym natychmiast westchnął. Zmarszczył czoło i zmrużył swe piękne błękitne oczy. Zanosilo się na kłopoty. Zaczął strugać nosem. Zawsze tak robił, gdy zwietrzył coś niedobrego. Jego wąski, łagodny nos drżał wtedy na wszystkie strony, a jasnobrązowe brwi kurczyły się w oczekiwaniu.

- Dobrze, to posłuchaj mnie uważnie - podjęła Nammu, zatrzymując się gwałtownie przy stoliku i niepokojącym ruchem biorąc do ręki kunsztownie wyrzeźbiony w glinie dzbanek do herbaty. - Mam już dość!

Ten krzyk był tak okropnie głośny, że aż jedna mątna złapała się za uszy. Wszyscy obecni w komnacie królewskiej też mieli już dość owej wątpliwie miłej wizyty.

- Czego znowu dość? - mruknął Enki, trochę niepokieszony, trochę zaskoczony jej nagłym wybuchem, a trochę zatrwożony niepewnym losem swego ukochanego dzbanka do herbaty.

- Mam dość wysłuchiwania lamentów bóstw! - zagrziała, a jej zielone oczy zapłonęły szkarłatem. W tym samym momencie dzbanek chybotliwie podskoczył w jej dłoniach – Dwie lewe ręce do wszystkiego, słowo daję! Nawet o pożywienie ani napoje dla własnych kałdunów im się nie chce zatroszczyć. „Takie kłopoty, takie trudności, takie brzemie ciężkie, matuchno Nammu...” Ciągłe tylko jęczą i płaczą, że muszą się upokarzać i harować. Sami kopią kanały, sypią ziemię i dźwigają kosze. Podobno rośliny spożywają ustami jak barany, a wodę żłopiają z rowów i kałuż. Nie ma komu uprawiać dla nich pól, siać ziarna, produkować chleba, szat, naczyń czy narzędzi, hodować owiec, kóz czy bydła, dbać o pomnażanie inwentarza ani zabawić i że wszystko muszą robić sami.

Enki zamyślił się, przerzucając wzrok od twarzy Nammu do sufitu, gdzie szczyrzył się wielki żyrandol z pereł, a potem zahaczył także o dygoczący gliniany dzbanek, którego przyszłość wisiała na włosku. Padł znów na szezlong, nie wiedząc, co rzec.

- A ty nie jesteś lepszy! - dostało mu się natychmiast. – Ciągłe tylko śpisz i masz wszystko w nosie, obiboku! Zbudziłbyś się raz, powstał z tego łoża lenistwa, uczynił coś mądrego... Przecież cały ten pałac jest pogrążony we śnie, słowo daję! Nawet galarety się zdrzemnęły i nie mogły mnie poznać!

- Uczynił coś mądrego... - powtórzył kąśliwie Enki, kręcąc głową. – Czyli na przykład co?

- A stworzyłbyś na przykład jakichś pomocników dla bogów, co by dla nich wytwarzali pożywienie - zamachnęła się dzbankiem Nammu. - Przydałbyś się chociaż do czegoś zamiast spać... A tak wszystko na mojej głowie!

Enki uśmiechnął się dobrotliwie. Wpatrzył się w usta Nammu, które zawsze go fascynowały płynnością swych linii. Teraz były jednak dużo bardziej srogie i posiniałe z gniewu.

- Matko moja - odchrząknął spokojnie, wyciągnąwszy do przodu ręce na znak, że mogłaby już odstawić dzbanek na swoje miejsce. – Tak się składa, że model stwora, o którym mówisz, istnieje już od dawna. Stworzyłem go kiedyś z nudów. Dałem mu siłę i ukształtowałem jego pierś. Wprowadziłem nawet mądrość do jego wnętrza. Trzeba tylko nadać mu wizerunek bogów, cechy i przeznaczenie oraz tchnąć w niego życie. Zamiast klekotać mi nad głową, zatrudniłabyś najlepszych formierzy do roboty i w kilka chwil zrobiliby ci najprzedniejszych służebników dla bóstw.

Nammu oddychała złowieszczo. Jej pierś unosiła się nieustannie, ale ona sama zaniemówiła, skupiona na postaci Enkiego. Czyżby rzekł prawdę?

- Z czego niby zrobiono model tej istoty? - odezwała się po chwili, dużo bardziej spokojnym tonem.

- Z gliny - odrzekł Enki, posyłając zaniepokojone spojrzenie ku dłoniom Nammu. – Z najlepszej gliny oceanicznej nad otchłanią. Wystarczy ją zamieszać i zagaęścić. Dam ci w tym celu moich znakomitych pałacowych formierzy. A ty tylko nadaj tym tworom boskie wizerunki według twego uznania. Jak chcesz, wyślę z tobą Ninmah, żeby ci pomogła ich ukształtować. Co ty na to?

Zaległa cisza, którą przerwał brzęk tłuczonej gliny oraz idącej w jej ślady perłowej porcelany: oto najpierw dzbanek do herbaty wymusknął się z rąk Nammu, a zaraz obok niego

na podłodze wylądował komplet filiżanek. Enki westchnął, a rybiogłowi ukryli twarze w dłoniach.

- I sądzisz, że ta prymitywna istota z gliny się do czegokolwiek nada? - zapytała bez ogródek Nammu, nie zważając na spowodowany hałas.

- Oczywiście - wychrypiał przejęty utratą swego ulubionego dzbanka Enki. - Sama się przekonasz.

- A jak zwie się ten stwór? - wymachiwała ramionami bogini Nammu, odczuwając dotkliwą pustkę w dłoniach. - Ma jakieś imię?

- Ma - mrugnął oczami Enki. - To „człowiek”. Więc jak będzie?

- Zgoda - burknęła Nammu po zastanowieniu, poprawiając kołnierz swej pięknej szaty. - Ale ty też masz przy tym być. I przyślij Ninmah. Nie będę wszystkiego robiła sama albo za was.

I w ten sposób kilka dni później Enki polecił Nammu i Ninmah stworzyć zgodnie ze swoją wizją człowieka, który miał powstać na wzór bogów. Zajęty się formowaniem ludzkiego ciała we dwie, w towarzystwie siedmiu służek Ninmah, będących boginkami narodzin oraz ekipy królewskich formierzy Enkiego. Sam Enki poszedł zaś w tym czasie spać.

Nazajutrz w sali biesiadnej pałacu Abzu odbyła się bajeczna uczta na cześć nowo powstałego człowieka. Przestronne pomieszczenie zastawione było niekończącymi się stołami, za którymi siedziały liczne pomniejsze bóstwa morskie i lądowe. Bóstwa te zgromadziły się głównie po to, by wychwalać wspaniałość Enkiego, jego pałacu oraz dzieła stworzenia, którego dokonał. Na blatach świeciły się poślacane półmiski o piętrzących się na nich przysmakach głębinowych i talerze obładowane różnymi rurkopławami, kawiorami, owocami morza oraz filetami rybnymi. Enki odziany w wykwintne stroje ze skór morsów i głębinowych delfinów zaprosił na huczną biesiadę Ninmah, boginię płodności, gór i władców, by świętować owo donośne wydarzenie. Młoda i nadzwyczaj piękna Ninmah najpierw opisała władcy głębin wygląd człowieka. Nic ekstraordinaryjnego, wszystko zgodnie z poleceniami: miał podobno głowę, parę oczu, usta, nos, dwie ręce i dwie nogi, zupełnie tak samo, jak bogowie. Dużo ciekawsza zdawała się historia o tym, jak przebiegał proces wykonywania „boskich służebników”.

- Gderała bez przerwy, ale kiedy szef formierzy zagroził, że zaraz sobie pójdzie i będzie musiała wszystko robić sama, przycichła trochę - chichotała Ninmah, opróżniając swój puchar z czerwonym winem i popijając kuflem piwa, a wtedy jej urocze duże oczęta o szmaragdowym połysku zmrużyły się wdzięcznie. Odstawiła puchar oraz kufel z powrotem na stół. Otarła usta. Jej gładkie oblicze zrobiło się nagle lekko zniesmaczone. Brwi ściągnęły się, a błysk w oczach zapłonął dużo bardziej dziko. - Czy zawsze muszą nas masować te oślizgłe kreatury, co to im macki wpełzają z gęb?

Ninmah, mocno już wstawiona przedłużającą się imprezą, siedziała u boku Enkiego w miejscu przeznaczonym dla władcy i jego partnerki. Była odziana w piękną wieczorową suknię z żółciutkich odwłoków piaskowych krabów. Z uszu zwisały jej zielone kolczyki w kształcie zakręconych muszelek, ślicznie komponujące się z barwą jej tęczówek. Wszyscy biesiadnicy, wśród których na uwagę zasługują liczni pomniejsi bogowie głębin i podmorskich równin zaproszeni przez gospodarza pałacu Abzu, kierowali jednak swą uwagę na wspaniałą fryzurę bogini. Włosy miała długie i czarowne. Spływały one po jej ramionach w postaci rozlicznych ciemnobrązowych warkoczyków, uplecionych z wybitną starannością.

Spośród gości w sali biesiadnej znalazł się cały orszak adoratorów bogini Ninmah. Mnóstwo szarmanckich, wymuskanych, odświętnie ubranych zalotników kierowało ku niej

teńskie spojrzenia i powściągliwie wznosiło kielichy, by pić za jej zdrowie oraz modlić się o przyciągnięcie jej bacności. Ona jednakowoż albo ignorowała owe zapędy, albo w ogóle ich nie dostrzegła w obliczu przemożnej ilości rozmaitych trunków wlanych do swego żołądka.

Tymczasem uśmiech zniknął z twarzy Ninmah w momencie, gdy jedna z „kreatur”, o których wspomniała, podczas masowania jej pleców omsknęła się macką po kilku warkoczykach z tyłu jej głowy, co przyprawiło boginię o przenikliwie ciarki na plecach.

- Nie marudź! - chlusnął winem po stole pijany Enki. – Wszak sama dobrze wiesz, że matwy to najlepsi masażyści. Ich macki czynią prawdziwe cuda. Nie śmiem zatrudnić kogośkolwiek innego do tej roboty.

- Może powinienes - rzekła z wyrzutem i dumną miną Ninmah, ale szybko się rozchmurzyła, czemu dopomógł jej wesoły, szampański nastrój. – Te stwory wywołują we mnie dreszcze. Kelner! - wrzasnęła nieprzyjemnie. - Prędko dolać mi tu piwa! Co się tak grzebiesz z tym dzbanem? - rozłożyła ręce, przedrzeźniając powolnego rybiogłowego kelnera i zwróciła twarz ku Enkiemu. - Zwolnij go natychmiast, nie nadaje się.

- Zwalniam cię, kelner! - zarechotał wesoły Enki. – I ciebie też! - wskazał na kolejnego rybiogłowca. – A ty przynieś nam beczkę piwa, skrzynkę wina i kilka karafek szampana. Ruchy!

- Patrz, jak się zbiesił, pacan! - zaśmiała się z kelnera Ninmah, ale wtenczas zakręciło jej się w głowie. – Dawno się tak dobrze nie bawiłam, mój kochany Enki - nagle obróciła się gwałtownie i grzotnęła najbliższą matwę po łbie. – Wara od mojej fryzury, przegniła mordo! Won mi stąd wszystkie! - łypnęła znów z wyrzutem na gospodarza. – Następnym razem wynajmij coś lepszego do masażu. Słyszałam, że koniki morskie są niezłe...

- Ta, i co jeszcze... - zakpił Enki, po czym złapał się za pulsujące z bólu czoło. – Może jeszcze powiesz, że te stwory, które zrobiliście z Nammu potrafią masować...

- I to jak! - wytrzeszczyła swe piękne szmaragdowe oczy Ninmah, nie skrywając przejęcia. – Oni są niesamowicie zdolni!

- Aż szkoda, że ich tu nie ma - zmartwił się Enki, otwierając kolejne wino, przyniesione akurat przez sługę, a do pucharu Ninmah nalewając szampana. - Chętnie bym się przekonał, czy...

Wtem Enki przerwał, bo na jego czarnych kręconych włosach przyozdobionych wielką ośmiokątną koroną ze złota zwieńczoną perłami wylądowała cała zawartość pucharu bogini.

- Szampana leje, bęcwał! - zaryczała. – Piwa lej! Pi-wa! Pi-wa! Pi-wa!

Ninmah poczęła głośno skandować, aż z zaangażowania wstała od stołu. Inne bóstwa też powstały, sądząc w pijackim widzie, że wznoszony jest kolejny toast. Wszyscy wzniesli w górę swe kielichy, a przewodziła im bogini, która duszkiem opróżniła kolejną porcję spienionej ciecicy. Aż tu po jej warkoczykach zaczęło coś spływać: oto zataczający się Enki dołączył do wrzawy i odwdzięczył się bogini, wylewając całą butlę wina na głowę Ninmah, przystrojona boskim diademem z najdrogocenniejszych szmaragdów górskich.

I zaczęła się zabawa. Piwo, wino, szampan i rum lały się na wszystkie strony, kąpiąc w swej posoce półmiski z niedojedzonymi kawiorami, różowymi krewetkami, wąsatymi homarami, łososiami, doradami i tysiącem innych wykwinnych dań.

W pewnej chwili Ninmah schyliła się pod stół i z pobliskiego skraju czeluści na dziedzińcu Abzu nabrała kawał gliny. Wystarczyło jej mgnienie oka, by ulepić z podjętej grudy sześć koślawych, upośledzonych, schorowanych, ułomnych istot o osobliwym wyrazie twarzy. Pierwsza była kobietą niezdolną do rodzenia, druga była pozbawiona zarówno organów męskich, jak i organów kobiecych, trzecia miała puszyste futerko oraz wąsy, czwarta posiadała

wielką rozwartą paszczękę i krótkie rączki, piąta ciągle się uśmiechała, nie przestając klekotać, a szósta robiła mądre miny i cedziła słowa, jakby każde z nich miało być pięknie oszlifowanym diamentem.

I w taki niecodzienny sposób narodziło się kalectwo, wady oraz ludzkie niedoskonałości.

Czyn Ninmah rozbawił Enkiego do tego stopnia, że rechotał wniebogłosey.

- Czekaj, zabawmy się, daj mi je nazwać i określić ich przeznaczenie - wyrzywał się, rozchochoy, rzucając uczynionym istotom okruszki chleba. Nurkowały po nie z takim zapalem, jak to mają w zwyczaju kaczkki lub łabędzie w miejskim parku.

Pierwszej kobiecie Enki przeznaczył miejsce w domu kobiet. Drugiej istocie kazał stać przed królem. Trzecią nazwał „lemingiem” i wysłał, by wierzyła we wszystko, co się mówi. Czwartej dał miano „krokodyla” i stwierdził, że będzie miała „wielką gębę do wrzeszczenia i krótkie rączki do pracy”. Piątą odesłał pilnie, mówiąc, że przyda się na naradach bogów. Szóstą zaś postanowił przekazać do uniwersytetu.

Bardzo już nabzdregolona Ninmah nie potrafiła pohamować śmiechu na widok wytworzonych przez siebie istot. Rozbawił ją też Enki. Los, który przeznaczył tym wytworom zdawał się ogromnie pocieszny. Ale to nie był koniec wybornych krotochwil.

- Patrz! - ryknął Enki, szturchając Ninmah łokciem. - Ogłaszam grę! Teraz ja coś ulepię, a ty będziesz musiała to nazwać i przydać temu czemuś rolę.

Gdy bogini skierowała swe półprzytomne oczęta na gospodarza, on wygrzebał ostentacyjnie jakiś brud albo piach z za paznokci i uformował z tej masy jeszcze śmieszniejsze i jeszcze bardziej pokracczne kreatury niż te, których autorką była Ninmah. Wyglądały jak całkowicie bezkształtne dziwotwory.

Ninmah ledwo uświadamiała sobie, co się wokół niej dzieje. Śmiała się bez przerwy do rozpuku, ale robiła to jakby odruchowo i z pewnością nie była w stanie wymyślić nic mądrego. Nadała tworom Enkiego następujące imiona, podpowiedziane chyba przez piwne upojenie: Kurgarra i Kalatur. Choć głowiła się na tyle, na ile mogła, nie potrafiła jednak w żaden sposób znaleźć przeznaczenia dla tych dziwolałów.

- Przegrałaś! - zawył dumny z siebie Enki, po czym czknał i żłopnął wina ze swego królewskiego kielicha.

- To głupia gra... - wymamrotała oburzona Ninmah o spąsowiałych, rozgrzanych od nadmiaru alkoholu policzkach. - Powinnam już wracać do domu, a jestem tak daleko... - zaszmuciła się nagle, zupełnie bez ostrzeżenia. - Jesteś wstrętny, skoro uprowadziłeś mnie tak daleko od domu!

Delikatne, choć gorejące ciepłem usta wywinęły się w zmarkotniałą podkówkę. Enkiemu zrobiło się nawet trochę przykro, więc ku pokrzepieniu jej serca objął niedbale kibić Ninmah, próbując ją pocieszyć tak, jak w zaistniałej sytuacji potrafił najlepiej.

- Nie nabzdyczaj się, żono - wychrzakał. - Zaraz wspólnie znajdziemy miejsce w społeczeństwie dla tych dwóch dziwadeł. Może niech... idą do diabła? Tak! Niech biorą pokarm życia i wodę życia... Niech idą w zaświaty i zadudnią do bram królestwa Kur... Niech powtarzają jak echo słowa upiornej królowej Ereszkigal... Są tak szkaradne, to może chociaż ona zaszczyci je swą uwagą... Może je przyjmie i polubi... A teraz... - Enki podniósł głos, uniósł swój kielich i ryknął ku wszystkim zgromadzonym na całe gardło. - Kto nie pije, ten niech zgnije! Zerować kufle i puchary!

I pijaństwo, zabawa oraz rechoty wydawały się nie mieć końca. Ninmah znów się rozweseliła. Po chwili szczebiotała i chichotała nie gorzej niż na początku uczyty. Wreszcie bó-

stwa upiły się tak bardzo, że posnęły bezładnie pod stołami sali biesiadnej. Ninmah o twarzy przystrojonej błogim dziewczęcym uśmiechem chrapała z głową ułożoną miękko na piersi Enkiego, który zanim utracił świadomość zdążył się jeszcze przebrać w swój elegancki frak z pobrązowiałych sinic, a frak ten, choć nie wyglądał, mokry był cały od wchłoniętego podczas finału imprezy czerwonego wina.

Jakiś czas później nad całym tym obrazem rozpaczy i zaległą ciszą stanęła królowa Nammu we własnej osobie. Pędzona ciekawością, przybyła na koniec uczty, by sprawdzić, jak się sprawy mają. „Nie do wiary!” - pomyślała. Złapała się groźnie pod boki. Omiotła wzrokiem leżące pokotem towarzystwo. Gniewnie sapiąc i kręcąc głową z zażenowaniem poczęła przechadzać się po sali biesiadnej. Kroczyła w stronę „królewskiego stołu”, a przy okazji raczyła przygodnie wylegujące się bóstwa odruchowymi kopniakami. Kilku czerwonych na gębie pijaków zalegało pod pobliskim stołem, gromada następnych spoczywała bezładnie na szerokich schodach, z podwiniętymi rękawami i porozrzucanymi chaotycznie kończynami, a jeden nieopodal to nawet zwisał pokracznie ze stołu. Nammu prychnęła drwiąco na widok grupki takich delikwentów, co to spali jeden na drugim, tworząc osobliwego pozoru wieżyczkę. Słowem: cała sala zasłana była zmożonymi nadmiarem alkoholu cielskimi bóstw.

Oto dotarła do królewskiego podium. Żadnej niespodzianki: próżny Enki i pyskata Ninmah nie prezentowali się wiele lepiej niż reszta towarzystwa. Drzemali na posadzce w niegodnej i nieprzystającej do boskiej powagi pozie, tkwiąc w swych wzajemnych objęciach. Na kilometr śmierdzieli alkoholem. Nammu prychnęła wyniośle i pokręciła znów głową.

Tak to się właśnie dzieje, gdy ona nie dopilnuje porządku. Tylko hańba i kompromitacja. Okrywają całą boską brać wstydem. Ale zaraz, cóż to snuje się tam w rogu? Nammu dostrzegła w pociemniałym zakamarku komnaty jakieś zarysy niewydarzonych, lekko pogarbionych postaci. Przymrużyła oczy i udała się w tamtym kierunku żwawym krokiem.

Wydała z siebie zduszony okrzyk i złapała się za pierś, widząc zastane dziwadła. Dwa bezkształtne monstra i sześcioro wadliwych, kostropatych śmiertelników! Wzruszyła ramionami i westchnęła. Czyli nic nie może być perfekcyjne. Jak widać, wady też muszą istnieć. Właściwie to każdy je ma. Nawet bogowie, jak się okazuje. Królowa Nammu obejrzała się z odrazą przez ramię na chrapiących głośno Enkiego i Ninmah. Jej korona w kształcie podwodnych wideł zamigotała zagadkowym blaskiem.

Cóż, w końcu powstali na obraz bogów. A więc wszystko się zgadza. Westchnęła. Ale gdyby to ona odpowiadała za porządek, to na pewno tak by to nie wyglądało. Na pewno nie. A tymczasem wszędzie same niedociągnięcia. Gdyby tylko mogła się za nich wszystkich zabrać. Gdyby...

Wzruszyła ramionami, pstryknęła palcami na osiem dziwotworów i poprowadziła je do wyznaczonych im przez Enkiego zadań. Teraz ludzkość była kompletna.

Przemysław Kulczak

**Powyższy tekst jest rozszerzeniem oraz sfabularyzowaną wersją sumeryjskiego mitu o stworzeniu człowieka na podstawie Zapomnianego świata Sumerów Mariana Bielickiego (1969).*





Poeci z Ostrowa

A jest ich wcale zgrabna grupa, która prężnie działa w dziedzinie tworzenia i propagowania kultury. Zapoznajcie się z ich twórczością. Mamy przyjemność zaprezentować Aleksandrę Kiełb-Szawułę, Romanę Szczuraszkową, Pawła Marciszewskiego i Macieja Pająka... Nie od dziś wiadomo, że Ostrowo to magiczne miasto...

Aleksandra Kiełb-Szawuła

koszalinianka, poetka, balladzistka, kompozytorka, animatorka działań kulturalnych. Śpiewa z własnym zespołem WYSPA oraz z DO GÓRY DNEM i mistrzami poezji śpiewanej – U STUDNI. Opublikowała wiersze i teksty piosenek w zbiorach: Niedojrzałe czereśnie (1999), W Nanibowie (2006), Fastrygi (2009), Droga do Betlejem (2012), Lepiej, lepiej, kto chce, niech się śmieje (2020), Cyrkulacje. Haiku (2021). Autorka książki wspomnieniowej o zespole Stare Dobre Małżeństwo, czyli Jak to się robi, w którym śpiewała w latach 1984-1989, współautorka powieści Na przełęczu (2022). Od 2004 roku redaguje antologię SZUFLADA. Ma w dorobku sześć autorskich płyt z balladami dla dorosłych i dzieci. Wyróżniona trzykrotnie tytułem Osobowość Ostrowskiej Kultury, a także Laurem Starosty Ostrowskiego oraz Odznaką honorową Zasłużona dla Kultury Polskiej. Pracuje w Ostrowskim Centrum Kultury.

mistrz Jan

ty wariatko
to się nie opłaca
ale śpiewaj śpiewaj
kijem Wisłę zawracaj

mam pod kapeluszem
swoją układankę
z piór, chmur i nadziei

rysuję dymkiem z papierosa
trasę na jutro

przymrużoną powieką
miodową nalewką nasercową
stawiam wykrzyknik

po monologu
starego aktora

ty wariacie
to się nie opłaca
ale śpiewaj śpiewaj
kijem Wisłę zawracaj

Rozmowa z Janem Nowickim w karczmie Rzym pod Bydgoszczą, w grudniu 2012 r.

Sojusze

Trudno wierzyć w te sojusze,
jeśli zamiast „chcę” jest „muszę”.

Brudas

W szorowanie rąk wkładał
strasznie dużo trudu,
lecz nie umiał się pozbyć
moralnego brudu.

Mucha

Zawsze się pożywi tym, czym inni gardzą,
już łapki zaciera, gdy zgniliznę czuje.
Czy dobrze być muchą? Niezgorzej, tym bardziej,
Że odpadków fura Ziemię zasypuje.

Na wierszokletę

Fala grafomanii płynie,
Gdy spożywam owoc w płynie,
- zwany zwykle winem białym -
Jestem wtedy twórcą śmiałym!

Tu lirycznie, tam dosadnie,
Składam rymy bardzo zgrabnie,
Wciąż pomysły nowe chwytam...
Tylko...komu to przeczytam?

Ideał

Idealny kształt ma kula,
Więc na ucztę dziś pohulam,
Po deserach trzech, pomału
Będę bliska ideału...

Zero

Samo zero, biedne, gołe,
Życie wiedzie niewesołe.
Swój potencjał zaś poprawi,
Gdy z jedynką się ustawi.

Odporny

Na wiedzę i chciwość niezwykle odporny,
głuptas, ale szczery, w robocie - pokorny,
cieszył się spokojnym życiem, piękna sprawa.
Zdrowy i wesoły - czy żył, czy udawał?

Romana Cegielna-Szczuraszek

odolanowianko-ostrowianka, maluje obrazy, tworzy kolaże, asambláže, instalacje, haftuje, komponuje aplikacje artystyczne, projektuje tkaniny i szyje, spełnia się jako poetka. Zajmuje się fotografią konceptualną. Przez lata pracowała jako psi groomer. Spełnia się jako stylistka, wizażystka, fryzjerka, fotografka. Od lat intensywnie zgłębia tajemnice psychologii.

Kapryśna

Wśród piernatów zastoju
I zaniechań odleżyn
Leży znany artysta
Taki od wielu dziedzin

Czarną przyszłość maluje
Pędzlem suchym zmierzwionym
Pióro gęsie pęknięte
- Ten artysta stracony!

Lecz cóż nagle się stało
Martwy z łoża powstaje
I zaczyna na powrót
tykać się swoich zajęć!

Skąd u niego ta zmiana
 Jakaż zmiany przyczyna
 Przecież to oczywiste
 - powróciła mu Wena!

Jego Pani kapryśna
 I niestała w uczuciach
 - czasem wraca nocami
 by zaś znowu go rzucać

Nuda panie

Gwiazdy, księżyc, miłość wielka.
 Pola, motyl i muszelka.
 Kwiaty, sraty, petronelka,
 no i znowu miłość wielka.

Piękna dziunia, co zdradzona.
 Oczy wielkie jak u konia.
 Włos, a jakże, zawsze bujny,
 z błyskiem, choć lekko, niechlujny.

Facet- musi kawał drania,
 kiedy ona zabujana.
 Zdrajca-łoj! A tak przystojny
 duszą -diabeł niespokojny.

Rzadko kiedy jest sielanka,
 bita ciągle żalów pianka.
 Wiecznie połamane serca
 -wciąż upchnięte gdzieś do wiersza

Wszystko temat to najczęstszy,
 co wtykany jest do wierszy.
 Rozpacz i kliwne dramaty,
 jakby hurtem spod łopaty.

Jakże mnie to wszystko nudzi,
 taki szajs a wzrusza ludzi.
 Jakiś powielany temat:
 Pla, pla, ble ble, wieczna ściema.

Kwiatki zawsze będą rosnać
 Facet będzie lubić dupczyć
 Laska tonąć w łez padole
 A ja wszystko to pierdo....

Jam Baba Jaga

Mieszkam w chatce Baby Jagi
 - jam nią właśnie, miej odwagi,
 by tu wstąpić i skosztować,
 co zdążyłam przygotować:

Z ludzkich myśli, tych najbrzydszych,
 z czynów, które ciężko wyśnić
 i bezeceństw z piekła rodem,
 co tragedii są powodem.

Wymieszałam kłamstwa, bzdury
 - odarłam to wcześniej z skóry,
 Posypałam szczyptą zgagi,
 co z podłości lud dziś dławi.

Zalałam to kobiet łzami,
 by gotować godzinami
 i uwarzyć z tego danie
 na ludzkie opamiętanie.

Mieszkam w ciasnym, ciemnym domku,
 gdzie kot czarny głośno mruczy.
 Wstąp tu człowieczy ułomku,
 może czegoś się nauczysz?

Może kosztując mej zupy,
 dostaniesz wnętrza rozstroju
 - wtedy pojdziesz, żeś był głupi,
 - wstyd wszystkim twego pokroju!

Może ockniesz się na powrót
 i szanować zaczniesz ludzi,
 by nie został smród po tobie.
 Kara - może cię obudzi.

Dobrocią zacznij się trudzić,
 bo sumienia nie umyjesz.
 No i przestań już się łudzić
 - po umarciu nie ożyjesz!

* alternatywnie - „Póki jeszcze, głupcze, żyjesz” wyśnione

Ima nie ima się mnie

Bywam artystką w wielu dziedzinach
Jedna dziedzina mnie się nie ima
Bywam śpiewaczką choć po pijaku
Bywam tancerką choć nie po fachu
Bywam malarką bez rezultatów
I dyplomatą lecz bez krawatu

Zdarza się czasem mojej osobie
Wiersze wydobyć które mam w głowie
Czasem się haftem potrudzę nieco
Taką czynnością ponoć kobiecą

Uwielbiam czasem w glinie podłubać
Asamblaż machnąć, szydełkiem dziubać
Kartki wyrywam z gazet, namiętne
Kolaż by zlepić - robię to chętnie

Jeszcze ubierać uwielbiam ludzi
Fotografuję gdy mnie nachodzi
Rzadziej się biorę za tkackie prace
portfolio swe marblingiem znaczę

Decoupage czynię, chociaż już rzadko
Szlifować meble idzie mi gładko
Kiedyś też byłam psiowym fryzjerem
I fristajlowym babskim bokserem

Mogę wyliczać razy i tysiąc
I na to wszystko mogę wam przysiąc
Że wszystko lubię chwycić potrzymać
Choć niekoniecznie to się mnie ima

Romana Cegielna-Szczuraszek

Paweł Marciszewski

poeta, prozaik, autor dwu książek poetyckich (czarne słońce i biała dziewczyna oraz miałem zamknięte oczy i nic nie widziałem), redaktor i założyciel portalu statek głupców. Współzałożyciel i prowadzący galerię sztuki Operis.Artis. Organizator i kurator wielu wystaw malarskich, przeglądów sztuki, konkursów, animator kultury. Na co dzień publikuje w sieci, a także w prasie kulturalnej i literackiej, głównie listy do redakcji i niedwuznaczne anonse.

Astronom

Patrzyłem dziś w górę i dużo myślałem o wszystkich rzeczach, które nosimy w środku. O tym, jak co wieczór zachodzi w nas słońce, jak idą za nim łuny wszystkie a po nich gwiazdy z księżycem – białe gąski jedna za drugą, w niespokojnym kołysaniu nad staw.

Albo drzewa, co gubią liście i ziemia, co przyjmuje je wszystkie i czemuś w nich nie tonie.

Albo rzeki, co schodzą z jasných gór i wchodzą w morze, a morze bierze je wszystkie w siebie i nie wylewa.

I patrzę nieraz na dzieci i myślę sobie: jak to jest? Takie dziecko, to jest przecież miejsca niewiele, a mimo to mieszczą się w nim wszystkie te zachody i gęsi i liście i rzeki.

Myślę, że sporo jest na świecie ludzi przepelnionych. Zaszło w nich już tyle nieb, że nawet jedna gwiazda już się w nich nie zmieści.

Podobno kropią sobie oczy atramentem, bo od blasku pod powiekami nie mogą już spać.

Podobno wyprowadzają ich poza bramy miasta, bo nie chcą takich między sobą.

Poza bramy miasta, to jest tam, gdzie mieszkają psy i nocne ptaki, w cieniu wielkiej góry, albo wielkiego lasu.

Tam osiadają, budują sobie małe ciemne chaty i toczą w nich pod górę swoje czarne, owa-dzie życia, które widziały już dosyć.

Tam podobno jest im lepiej, tam podobno da się żyć.

I gdy wychodzę po nocy i patrzę, jak Wolarz goni Wielki wóz, trochę się boję.

Głowią się: czy to już teraz? Czy nazajutrz okaże się, że przyszła do mnie ostatnia gwiazda?

Czy będę musiał pakować się i wynosić?

Ale wciąż jeszcze nie i nie, chociaż czuję, jak gwiazdy z pluskiem wpadają we mnie i czuję, że to już blisko.

Gdy byliśmy dziećmi, pamiętasz, jedliśmy nad stawem czereśnie, a potem pluli pestkami w wodę.

Wpada to wszystko we mnie, ziarno w moją pierś korzeń wpuszcza.

A te słowa piszę w pośpiechu, nie wiem ile, ile jeszcze.

Mimo wszystko na koniec tego listu piszę ci: idź i patrz.

Widzimy się niebawem po drugiej stronie nocy.

kto tam

To już kilka lat, jak porzuciłem zegary i kalendarze. Nie wiem już, która jest godzina, który dzień i rok.

Najwięcej o czasie myślałem w dzieciństwie. Nigdy tak jak wtedy nie bałem się śmierci.

A teraz, teraz to nie są już ważne sprawy, schną we mnie popędy, gasną światła i koryta rzek.

W środku jest gęsty bór, jego mieszkańcy jedzą jagody, jajka i to wszystko, co uda im się wymienić przy granicy.

Jedzą do syta, śpią do późna, nie pracują, nie walczą z nikim, czasami widzę ich w lustrze jak stoją razem wyprostowani i patrzą, jakby pozowali do zdjęcia. Ale to wszystko są małe historie ze środka.

A na zewnątrz, gdy nie patrzę, obracają się pory roku i Wielki wóz jest nagle po drugiej stronie nieba.

Gdy śpimy jeszcze przysypani zimą, ktoś cichcem sadi przebiśniegi.

Nie widzimy wielu rzeczy, które dzieją się pod słońcem.

Kiedy spałem ktoś tutaj był i żył moje życie. Poszedł w mnóstwo miejsc, w które ja nie poszedłbym nigdy, pisał wiersze, których ja bym nie napisał. Późno już.

pestki

O tym, że słowo musi we mnie urosnąć, dowiedziałem się niedawno.

W kraju ludzi którzy mówią zawsze, nie jest to wcale rzecz oczywista.

Mówiłem więc i ja, mówiłem i mówiłem, o wielu rzeczach nie myśląc.

Nie dziwiło mnie wcale, że niebo wypełnione jest ptakami i że jest na nim tyle chmur i tyle gwiazd ile być powinno, tylko tyle i aż tyle.

W lesie rośnie tyle drzew, ile policzyć potrafią sarny, jeże, tylko tyle by napełnić brzuch wieiórki.

I na każdym z nich od północy rośnie mech, zgodnie z planem, zero zdziwienia, dobrze znamy lasy, dobrze znamy niebo.

A ojcowie pustyni siedzą i liczą ziarenka piasku, póki nie zliczą wszystkich, żaden z nich nie powie, że poznał pustynię.

Nikt nie liczy słów, swoich ani cudzych; nikt mówiąc nie patrzy w kalendarz.

Mówimy i mówimy, jesteśmy jak chłopcy, co biegną z kieszeniami pełnymi cierpkich, zielonych, twardych jabłek.

Liczymy gwiazdy na niebie, ale potrafimy liczyć tylko do dziesięciu.

I spać chodzimy prosto w noc, wskakujemy prosto w czarny przerębelski, krzycząc przy tym ile sił.

ostatnia odwilż

Jest chmura, co białym kalafiosem wypływa na niebo.

Śnimy już tylko geometrię: linie, figury, bryły i światło, które w nich zamieszkało.

Noc chodzi między nami, między mną a Tobą i łączy kropki, wiąże je nicią bardzo cienką, która jednak wystarcza.

Na swoją porę czekają krokusy, swój sen zimowy mają Antares na niebie i kamienie w korytach rzek.

Jest chrząst ziaren piasku, jest śpiew kosa, jest wiatr, co zamieszkał w topoli.

Jest mała książeczka, w której piszę o tym wszystkim, żeby nie zginęło.

Paweł Marciszewski

Maciej Pająk

Poeta, sportowiec, anglista, z wykształcenia nawigator morski. Pisze w języku polskim i angielskim. Zadebiutował w 2018 r. tomikiem Noc taka niebieska. Ponadto wydał tomiki Niebieska Klepsydra oraz Sonety niebieskie. Do wielu wierszy i tekstów powstała muzyka.

Nad morzem z synem

Kiedy na parę chwil
Odłożył smartfona
Pokazałem mu
Jak puszca się kaczki
płaskim kamieniem
rozpryskując wodę
Na tafli wzburzonego morza

Kiedy na parę chwil
Odłożył smartfona
Pokazałem mu moment
załamania się fali
Taki w jakim czasie
Załamuje się człowiek

Kiedy na parę chwil
Odłożył smartfona
Pokazałem mu
Jak prawidłowo ustawić żagle
Zgodnie z kierunkiem wiatru
Jak prawidłowo trzymać wiosło
By nie ugrzęzło w solance błękitu

Kiedy na parę chwil
Odłożył smartfona
Opowiedziałem mu
jakie są rodzaje chmur
Jaka jest aktualnie skala Beauforta
I skala człowieczej kondycji

A kiedy już będzie gotowy
Żeby zapolować na Moby Dicka
Z pewnością sam z siebie
Odłoży smartfona

Okularnik

Często gubię okulary...
Być może dlatego
Że nie należą
Do mojego ciała

Kiedy mam je na sobie
Pozwalają mi dostrzec
To - co widzieć pragnę
To - czego widzieć nie chcę
To - co mi obojętne

Okularzyska moje...

Optyczne opus magnum
Wielki wynalazek
Złudzenie też czyni widocznym

Nic im nie umknie:

Żaden biały królik
Nie schowa się w norce
Niezauważony

Żadna ścięta głowa
Nie potoczy się
Po krzywiźnie ziemi
Odporna na moje spojrzenia...
A kiedy stanę
Na krawędzi nicości
Mam nadzieję
Że będę wtedy w okularach
A Bóg nie okaże się
Krótkowzroczny...

Niezdara

"Zawalcz o swoje i nigdy się nie poddawaj"
 - powiadają
 Cóż jednak czynić ma osoba
 Która nie urodziła się wojownikiem?
 Nienaostrzoną szpadę trzyma niezdarnie
 Potyka się o kamienie
 Gubi się w wysokich trawach niemocy
 Jąka się w czasie kłótni
 Podczas pojedynku
 W rewolwer - zamiast naboju
 Ładuje pestki czereśni

Cóż wtedy?

Spartanie przezornie zrzucali
 Słabe noworodki z ponurej skały

"Dlaczego gardzicie słabością?"
 Pyta Zaratustra
 Przecież każdy - nawet najsłabszy oddech
 Jest niezbędny dla
 Wieczności wszechświata

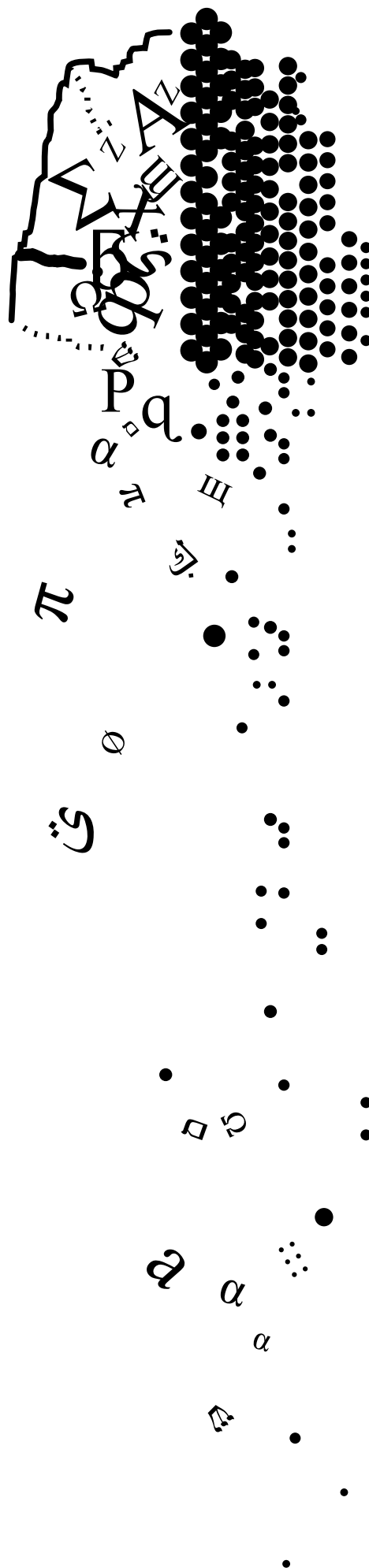
Marzenie

Bakaliowe morza
 Waniliowe sny
 Chcę w waszych objęciach
 Obserwować świat
 Na latawcu fruwać
 Z południowym wiatrem
 Nie licząc natrętnie
 Zmarnowanych lat

Pod lirycznym skrzydłem
 W ciszy fajkę palić
 Z polnym skrzatem nocą
 Na fujarce grać
 Sam na sam z księżycem
 Uśmiechem się dzielić
 A piaskowej burzy
 Prosto w twarz się śmiać

Niczym rączy jeleń
 Poprzez lasy bieżyc
 Cytrynowym świtem
 Błąkać się wśród mgły
 I tak całą siłą
 Przeogromnie wierzyć
 Że świat dookoła
 Wcale nie jest zły

Maciej Pająk



Andrzej Sikorski

O najmniejszym wydziale na UAM i spalonych prządkach

Rozmowa z prof. dr hab. Andrzejem Michałowskim, dziekanem Wydziału Archeologii UAM

Andrzej Sikorski: - *Jako pierwszy dziekan nowego wydziału na uczelni, pisze Pan Profesor nowy rozdział w historii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu!*

Prof. Andrzej Michałowski: - **Wszyscy tworzymy tę historię: każdy dydaktyk, student, administracja i obsługa! Od 2019 r. w jakimś stopniu również dorzucam swój kamyczek. Za zgodą władz w miejsce Instytutu Prahistorii UAM, będącego częścią dużego Wydziału Historycznego nasza dyscyplina naukowa uzyskała pewną samodzielność – i jest to osiągnięcie, które staramy się maksymalnie wykorzystać dla rozwoju archeologii w perspektywie ogólnopolskiej.**

- *Towarzyszyły temu emocje?*

- **Duże. Radość i niepewność zarazem, czy dam sobie radę, gdyż wokół powołania nowego wydziału krążyły różne czarne scenariusze. Dużo zawdzięczamy odważnej decyzji Pana Rektora, prof. dr hab. Andrzeja Lesickiego, który w 2019 r. dał szansę małemu wydziałowi - stawiani bowiem byliśmy nie tylko na klęskę finansową. Jednak tradycja**



prof. Andrzej Michałowski.

i pozycja uniwersyteckiej archeologii poznańskiej i jej osiągnięcia zaważyły, że jesteśmy swego rodzaju fenomenem badawczo-naukowym w kraju.

- *Najmniejszy na uczelni, ale...*

- **Mamy wydział zwarty, bardzo silny. Pracownicy, doktoranci i studenci budują zespół, który bada i odkrywa nowe ścieżki ba-**



dawcze ma markę. Oczywiście, składają się na to sukcesy dydaktyczne, wyniki analiz i publikacje.

- To już nie tylko łopatką, pędzelek i emocje badacza, ale nowoczesne przyrządy badawcze, ale cała „maszyneria” na miarę XXI wieku.

- Rzeczywiście posiadamy i stale poszerzamy swoją nowoczesną bazę laboratoryjną. Laboratorium archeometryczne, mikroskopowe, bioarcheologiczne mają wysokie standardy międzynarodowe. Dzięki temu zyskaliśmy dużą samodzielność, co doskonale podkreśla rangę UAM jako uczelni badawczej. Dodam, że zwiększa to możliwości pozyskiwania środków nie tylko na badania indywidualne, lecz także zespołowe. Sprzęt, na przykład spektrometry, które udało się nam zakupić, zwiększają potencjał naszego laboratorium. Ponadto także budujemy eksperymentalność, czyli możliwości poznawania wykopanego materiału archeologicznego przez „szkiełko i oko” i poznawania zupełnie dotąd nieznanymi struktur mikroświata. Jednocześnie uzyskujemy nowe dane o ludziach sprzed wieków, sprzed tysięcy lat.



- Tak zamierzchna przeszłość interesuje studentów? Archeolożka, archeolog, to niełatwy zawód, to charakter – jak mówi się na wydziale...

- Owszem, jednak nie brakuje nam pełnych entuzjazmu, energii studentów, choć też zdarzają się bardzo „studenci” studiujący, którzy z różnych powodów „przeciągają” pobyt na uczelni. W sumie studiuje ponad 100. przyszłych archeologów. Wykłady, ćwiczenia, zajęcia fakultatywne i laboratoria, a zwłaszcza wykopaliska cementują brać studencką z wykładowcami. Kilkutygodniowe badania terenowe dają „oddech” wielkich przestrzeni – niekoniecznie zaraz wielkiego stepu, pustyni czy łąk – ale powiew prahistorii i historii. Na wydziale studenci mogą studiować archeologię pradziejową i średniowieczną oraz orientalną i antyczną. Natomiast od tego roku archeometrię, na Wydziale Chemii UAM, która otwiera nowe pole dla interpretacji z zastosowaniem wyników badań nauk ścisłych. Staramy się łączyć perfekcjonizm nauk ścisłych z szerokim oddechem humanistyki. Archeologia zaskakuje, zadziwia i...

- Dlatego Pan Dziekan wybrał archeologię?

- No cóż, od szkoły podstawowej interesowałem się przeszłością. Dużo czytałem, ale chyba zaważyła „Wyspa złoczyńców” Zbigniewa Nienackiego. Opisane badania wykopaliskowe i przygody antropologów na jakiejś wyspie na Wiśle koło Włocławka tak podzia-

łały na moją wyobraźnię, że nie historia czy antropologia, lecz archeologia.

- I ta przygoda, zarazem pasja Pana Profesora trwa.

- Ponad trzydzieści lat!



- Z tej perspektywy najbardziej zaskakujące odkrycie.

- Każde badania wykopaliskowe są niespodzianką, zaskakują i dają zawodową satysfakcję. Niewątpliwie ekspedycja nad Notec i odkrycie nekropolii w Mirosławiu. Tak naprawdę, to marzenie każdego badacza, kiedy odkrywa się komorę grobową i wchodzi, jak do grobowca Tutenchamona! Naprawdę! I nagle pod wielkim nasypem ziemnym i konstrukcjami kamiennymi po 1800 latach

widzi się mury grobowe z resztkami stroju pochowanej tam osoby i dary grobowe (ozdoby: zapinki, naszyjniki, bransolety, kolie paciorków szklanych). A obok w kurhanie kolejne niespodzianki.

- Swego czasu głośno było o prządkach z tego cmentarzyska.

- Tak, dwie „prądkie czasu”, bo tak je nazwałem, zostały tam pochowane. Jedna spalona na stosie pochowana w nasypie kurhanu, druga w obrządku szkieletowym złożona pod kurhanem. Inwentarz grobowy wskazuje, że zajmowały się wytwarzaniem przędzy i tekstyliów. Metaforycznie można powiedzieć, że skręcały szczęśliwe nici – chwile życia swojego plemienia.

- Oczywiście wydział obecny jest w Poznaniu!

- Tak, sięgamy po początki chrześcijaństwa i państwowości, czyli Ostrów Tumski, od przedwojennych wykopalisk prof. Józefa Kostrzewskiego (na placu przed katedrą) i odkryć zespołu pałacowo-sakralnego, wałów grodu i architektury gotyckiej (w kościele NMP, Psalterii, Akademii Lubrańskiego i kanoniach) – odkrycia prof. Hanny Kóćki-Krenz (1999-2014), do miasta lokacyjnego, czyli badań d. fary-Kolegiaty św. Marii Magdaleny, jednego z największych kościołów średniowiecznych, która po pięciu wiekach świetności w XIX w. zniknęła z pejzażu Poznania (badania prof. Marcina Ignaczaka) i może weźmiemy udział w wykopaliskach na Zamku Królewskim (Wzgórze Przemysła). Mamy też

dalsze plany, ale...

- No cóż, skoro ze swej ławeczki przy wejściu do gmachu Collegium Historicum na Morasku wydział „dogląda” prof. Józef Kostrzewski, wszystko powinno się udać.

- Tak, jeden z założycieli Uniwersytetu Poznańskiego, wielki poliprahistoryk i muzealnik oraz wykładowca i kierownik dawnej Katedry Archeologii. I dobrze się nami opiekuje.

Rozmawiał Andrzej Sikorski



Małgorzata Kropiwnicka

Muzeum jest trwałą instytucją służącą społeczeństwu

...nie nastawioną na osiągnięcie zysku, która zajmuje się badaniem, gromadzeniem, konserwacją, interpretacją oraz prezentacją materialnego i niematerialnego dziedzictwa. Otwarte dla wszystkich, powszechnie dostępne i niewykluczające, muzea promują różnorodność i zrównoważony rozwój. Swoją działalność i sposoby komunikowania opierają na zasadach etyki, profesjonalnej rzetelności i społecznej partycypacji. Oferują zróżnicowane doświadczenia służące edukowaniu, rozrywce, refleksji i dzieleniu się wiedzą."

Zgromadzenie Generalne ICOM, 24,08, 2022 r.

Współczesne wystawy muzealne są jak imprezy z czerwonym dywanem - reklama, sensacja, tłumy obserwatorów, tłumy szczęśliwców z biletami i pokaźna liczba nieszczęśliwców bez możliwości wejścia na ekspozycję. Szum medialny graniczący z histerią, snobizm wybrańców, a nad całością czuwające (obowiązkowo) logo pokazu... i w tym mamy swój zaszczytny udział. W 2011/2012 roku talizmanem salonu malarskiego w Londynie była nasza Dama z łasiczką Leonarda da Vinci.

Anglicy potrafią celebrować sztukę i potrafią zachęcić do jej obejrzenia, robiąc z wydarzenia absolutny must have kulturalnego człowieka.

W szary, wilgotny, styczniowy poranek 2012 roku o godzinie 4,30 stałam w ekskluzywnej międzynarodowej kolejce do Nationale Gallery, by już około godziny 13.00 zdobyć bilet na historyczną odsłonę pt. Leonardo da Vinci – malarz na dworze mediolańskim. Stałam, przysiadłam, przestępowałam z nogi na nogę, bo plotka kolejkowa dopuszczała możliwość zamknięcia kas. Dziwna to była kolejka - obok mnie pan we fraku - przyszedł tu najpewniej z nocnej eskapady, tyle że przezornie zabrał z sobą śpiwór i teraz w tej uroczystej szarości swego stroju i z cylindrem pod głową leży na chodniku pod zimowym niebem Londynu, dalej lateksowe nastolatki z kolorowymi dreadami, jeszcze dalej zaczytana dziewczyna z Kindlem w dłoniach, w tle słynny Trafalgar Square.

A w środku, w gmachu muzeum - jako się rzekło - dzieła Mistrza, ale i sensacja, bo bez tego marketingowego smaczku współczesne wystawiennictwo nie mogłoby zaistnieć w wyobraźni masowej publiczności... Wstępujących w progi Nationale Gallery wita Cecylia Gallerani powielana na plakatach, ołówkach, gumkach, parasolkach, notesach.

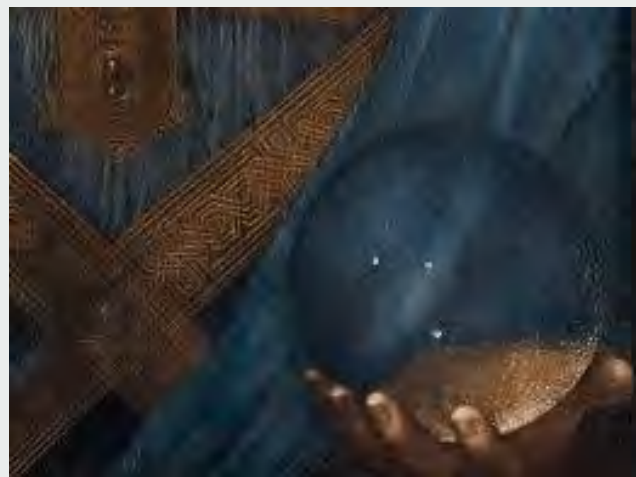
Tytuł pokazu wskazuje na czas, kiedy to Leonardo, opuściwszy Florencję, pracuje dla Ludovica Sforzy. Zajmuje się inżynierią, projektuje architekturę ogrodową



i dekoracje będące oprawą dworskich uroczystości. Sam niebywale piękny i elegancki, kreśli szkice damskich sukien dla żon i kochanek możnych ówczesnego świata... także maluje, z tego właśnie okresu pochodzi słynny portret Cecylii - ten nasz jedyny skarb z twórczości Leonarda, wypożyczony na wystawę wbrew opinii znawców. Jednak uwagę zawładnęły dwa arcydzieła o wspólnym tytule - Madonna w grocie. Ta z Luwru - będąca pierwszą wersją tematu (1483-1490) i ta z Nationale Gallery (1495- 1508) - równie pierwsza z najpierwszych i piękna z najpiękniejszych. Nigdy nie wisały razem, teraz pokazywane w niewielkiej sali robią piorunujące wrażenie.



Sławne historycznym sporem o komentarz religijny i jak to bywa najczęściej o wysokość wynagrodzenia, różnią się szczegółami - cudownym wskazującym gestem dłoni Anioła i delikatnością nimbu nad głowami boskich postaci. I sensacja - jedna z nich, ta londyńska została oczyszczona z wiekowej patyny, poddana dużej, a wielu ekspertów twierdzi, że zbyt dużej ingerencji konserwatorów. Zniknęły omszałe aksamitne zielenie wilgotnych skał, perłowa szarość w tle i łagodne złote światło oblewające święte twarze. Pojawiły się ostre błękity jakby w technikolorze pierwszych barwnych filmów z połowy XX wieku. Odkrywamy, że Madonna klęczy, podziwiamy turkusowe draperie szaty, błądźliwość cery, światłocień na twarzy Marii, Jezusa, św. Jana, Gabriela...



Zaczyna się trwająca do dzisiaj dyskusja znawców sztuki - co wolno, czego nie wolno wobec dzieła, które jest tekstem kultury śródziemnomorskiej i tę kulturę znaczy, buduje, odzwierciedla. Spory toczą się tu i teraz, zwiedzający dyskutują, drobiazgowo porównują „rozmawiające z sobą” obrazy umieszczone na przeciwnych ścianach... niezapomniane wrażenie i szalony efekt medialny - tak właśnie robi się dzisiaj pokazy w największych muzeach świata. Temat wolności konserwatorów będzie jeszcze nieraz powracał w różnych kontekstach i przy okazji równie ważnych wydarzeń artystycznych. Tymczasem to nie jedyny zaskakujący artefakt obecny na słynnej londyńskiej wystawie. Stoimy przed wyjątkowym obrazem Salvator Mundi (Zbawiciel Świata) Leonarda da Vinci.

Najdroższa deska w historii malarstwa, ostatnia cena - 450 milionów dolarów, ostatnio widziana w przestrzeni publicznej w roku 2012 właśnie w National Gallery. Tajemnicze pod

każdym względem dzieło (1506-1513), przez wiele stuleci zaginione, wielokrotnie przerabiane, pojawia się na rynku sztuki w wieku XX. Malowidło olejne o wymiarach 66/47 jest pokryte kilkoma warstwami farby, werniksu, czasu..., staje się wyzwaniem dla historyków sztuki. To wizerunek Chrystusa, który charakterystycznym gestem przekazuje ludzkości błogosławieństwo. W lewej dłoni trzyma kryształową kulę - symbol świata. Przeźroczystość tej kuli urzeka, choć za chwilę malkontenci powiedzą, że źle malowana, że nie mogła wyjść spod pędzla takiego geniusza, że przestrzennie słaba... nie widzę tego, jestem pod wrażeniem wyrazu twarzy Jezusa i tajemnicy, jaka niewątpliwie tu jest. Na rynku sztuki zaczyna się spór o autentyczność Zbawiciela i trwa do dzisiaj. Tylko dzisiaj obrazu nie ma już w Europie, został sprzedany za horrendalną sumę arabskiemu szejkowi i... zniknął. Jednak zgietk wokół obrazu nie ustaje. Internet podrzuca coraz to nowe informacje, wszystkie sensacyjne. Cóż, żyjemy w świecie medialnej zawieruchy:

- powodem ukrycia /zaginięcia obrazu jest wojna religijna i kulturowa między Europą i Azją;
- to nie jest dzieło Leonarda..., nawet nie jego uczniów..., błędy optyczne wykluczają autorstwo;
- Salvador Mundi pochodzi dosłownie z czasów pracy nad Giocondą i ma z nią wiele wspólnego - zarys ust, zadumę, wyraz oczu....



Podziwiając dzieło, jeszcze o tym wszystkim nie wiemy, milkniemy, wstrzymujemy oddech, urzeka nas mistycyzm chwili...

Jeśli Państwo pozwolicie i jesteście zainteresowani, zamierzam opisać kilka historycznych już wystaw, jakie z mniejszą bądź większą pompą odbyły się w sławnych muzeach dzisiejszej Europy, by na koniec dotrzeć do tej najnowszej w Amsterdamie i zrozumieć jej fenomen. Tak więc zapraszam na kolejne odcinki wspomnień z Mediolanu, dwukrotnie z Paryża i Amsterdamu właśnie. Temat to: Przebój sezonu, wielkie pieniądze, rozgłos i reklama we współczesnym wystawiennictwie muzealnym. Pokaz w muzeum jako „mega-hit”!

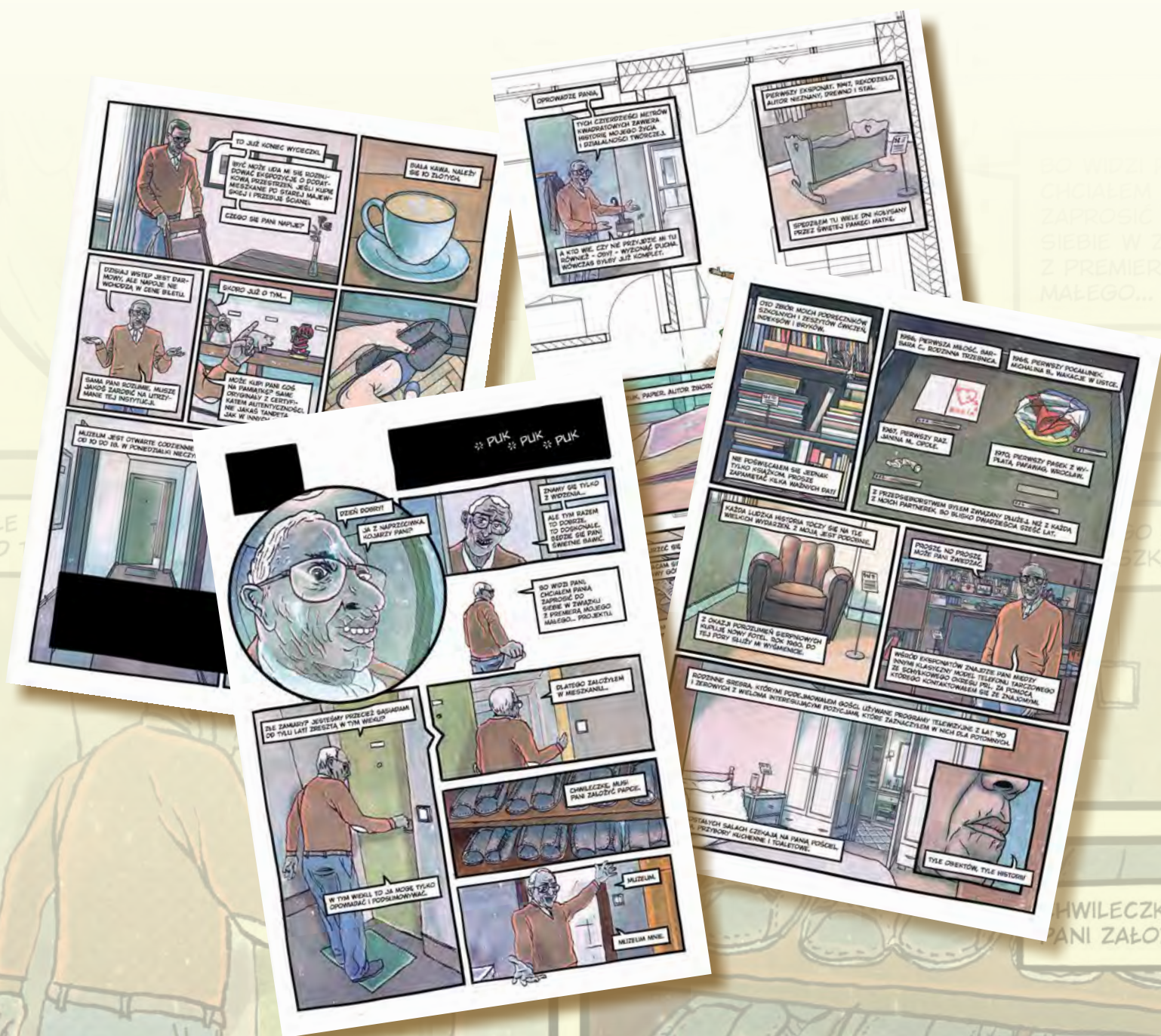
*Stacja londyńskiego metra.
Reklama wystawy Leonarda da Vinci w National Gallery.*



Komiks - sztuka słowa i rysunku. Muzeum mnie

Prezentujemy autorski komiks pary twórców: **Tomasz Kontny** - scenarzysta komiksów, projektant i producent gier komputerowych, autor spektakli teatralnych. Nagradzany w konkursach, w tym wielokrotnie na Międzynarodowym Festiwalu Komiksu i Gier w Łodzi. Píše serię „Wydział 7” o SB-ekach rozwiązujących paranormalne zagadki w realiach PRL. Współpracuje zarówno ze sceną niezależną, jak i dużymi wydawnictwami. Prowadzi warsztaty scenariuszowe i zajęcia z kreatywnego pisania na uniwersytetach w Krakowie i Katowicach. Rezydent Pałacu Radziwiłłów w Antoninie – projektu Departamentu Kultury Urzędu Marszałkowskiego.

Leszek Kassijan-Wicherek - (ur. 1980), architekt. Czasami rysuje komiksy. Jest związany z komiksową grupą Maszin.



* PUK * PUK * PUK



DZIEŃ DOBRY!

JA Z NAPRZECIWKA,
KOJARZY PANI?



ZNAMY SIĘ TYLKO
Z WIDZENIA...

ALE TYM RAZEM
TO DOBRZE,
TO DOSKONAŁE.
BĘDZIE SIĘ PANI
ŚWIETNIE BAWIĆ.



BO WIDZI PANI,
CHCIAŁEM PANIA
ZAPROSIĆ DO
SIEBIE W ZWIĄZKU
Z PREMIERĄ MOJEGO
MAŁEGO... PROJEKTU.



ZŁE ZAMIARY? JESTEŚMY PRZECIEŻ SASIADAMI
OD TYLU LAT! ZRESZTĄ W TYM WIEKU?

W TYM WIEKU, TO JA MOGĘ TYLKO
OPOWIADAĆ I PODSUMOWYWAĆ.



DLATEGO ZAŁOŻYŁEM
W MIESZKANIU...



CHWILECZKĘ, MUSI
PANI ZAŁOŻYĆ PAPCIE.



MUZELUM.

MUZELUM MNIE.

OPROWADZĘ PANIA.

TYCH CZTERDZIEŚCI METRÓW KWADRATOWYCH ZAWIERA HISTORIĘ MOJEGO ŻYCIA I DZIAŁALNOŚCI TWÓRCZEJ.

A KTO WIE, CZY NIE PRZYJDZIE MI TU RÓWNIEŻ - OBY! - WYZIONĄĆ DUCHA. WÓWCZAS BYŁBY JUŻ KOMPLET.

PIERWSZY EKSPONAT. 1947, RĘKODZIEŁO. AUTOR NIEZNANY, DREWNO I STAL.

SPĘDZIŁEM TU WIELE DNI KOŁYSANY PRZEZ ŚWIĘTEJ PAMIĘCI MATKĘ.

1953, BIAŁY KRUK, PAPIER. AUTOR ZBIOROWY. POTEM POCZYTA SOBIE PANI TABLICZKI.

NALICZYŁEM SIĘ TYCH BAJEK WŁAŚCIWIE NA PAMIĘĆ.

PROSZĘ PRZYJRZEĆ SIĘ UWAGA. TA RYSKA.

1958, PRZEWRACAM SIĘ NIESZCZĘŚLIWIE I WYBIJAM PRAWY GÓRNY KIEŁ O PARKIET.

ZĘBA JUŻ NIE MAM, ALE JEGO ŚLAD POZOSTAŁ.

1968, W TYM ŁÓŻKLU UMIERA MOJA MATKA. OD TEJ PORY ŚPIĘ W TYM SAMYM MIEJSCU.

1976, 1990, 2001, WYMIANA MATERACY.

OTO ZBIÓR MOICH PODRĘCZNIKÓW SZKOLNYCH I ZESZYTÓW ĆWICZEŃ, INDEKSÓW I BRYKÓW.



NIE POŚWIĘCAŁEM SIĘ JEDNAK TYLKO KSIĄŻKOM. PROSZĘ ZAPAMIĘTAĆ KILKA WAŻNYCH DAT!

1956, PIERWSZA MIŁOŚĆ. BARBARA C., RODZINNA TRZEBNICA.

1965, PIERWSZY POCALIINEK. MICHALINA B., WAKACJE W USTCE.



1967, PIERWSZY RAZ. JANINA M., OPOLE.

1970, PIERWSZY PASEK Z WYPŁATĄ. PAFAWAG, WROCŁAW.

Z PRZEDSIĘBIORSTWEM BYŁEM ZWIĄZANY DŁUŻEJ, NIŻ Z KAŻDĄ Z MOICH PARTNEREK, BO BLISKO DWADZIEŚCIA SZEŚĆ LAT.

KAŻDA LUDZKA HISTORIA TOCZY SIĘ NA TLE WIELKICH WYDARZEŃ. Z MOJĄ JEST PODOBNIĘ.



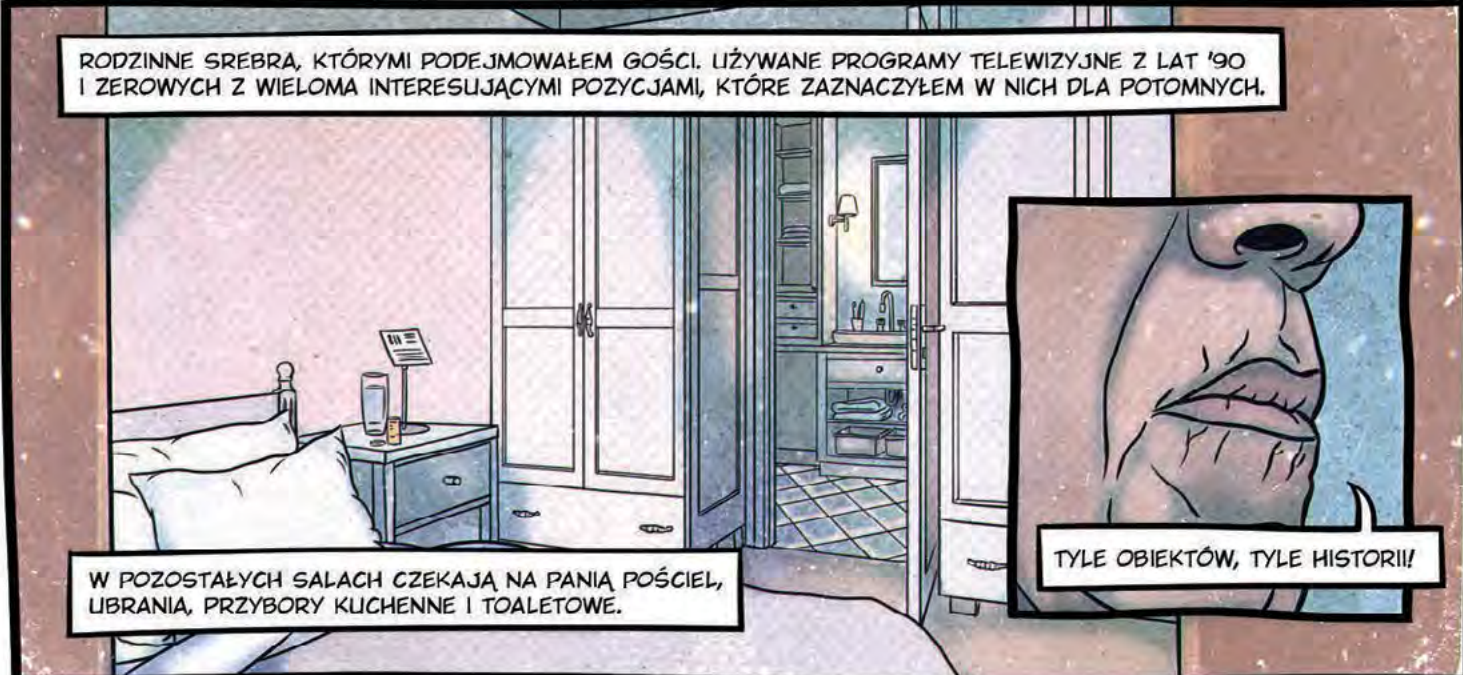
Z OKAZJI POROZUMIEŃ SIERPNIOWYCH KUPIJĘ NOWY FOTEL. ROK 1980. DO TEJ PORY SŁUŻY MI WYŚMIENICIE.

PROSZĘ, NO PROSZĘ. MOŻE PANI ZWIEDZAĆ.



WŚRÓD EKSPONATÓW ZNAJDZIE PANI MIĘDZY INNYMI KLASYCZNY MODEL TELEFONU TARCZOWEGO ZE SCHYŁKOWEGO OKRESU PRL, ZA POMOCĄ KTÓREGO KONTAKTOWAŁEM SIĘ ZE ZNAJOMYMI.

RODZINNE SREBRA, KTÓRYMI PODEJMOWAŁEM GOŚCI. LIŻYWANE PROGRAMY TELEWIZYJNE Z LAT '90 I ZEROWYCH Z WIELOMA INTERESUJĄCYMI POZYCJAMI, KTÓRE ZAZNACZYŁEM W NICH DLA POTOMNYCH.



W POZOSTAŁYCH SALACH CZEKAJĄ NA PANIĄ POŚCIEL, LUBRANIA, PRZYBORY KUCHENNE I TOALETOWE.

TYLE OBIEKTÓW, TYLE HISTORII!



TO JUŻ KONIEC WYCIECZKI.

(BYĆ MOŻE LIDA MI SIĘ ROZBU-
DOWAĆ EKSPOZYCJĘ O DODAT-
KOWĄ PRZESTRZEŃ, JEŚLI KUPIĘ
MIESZKANIE PO STAREJ MAJEW-
SKIEJ I PRZEBIJĘ ŚCIANĘ).

CZEGO SIĘ PANI NAPIJE?



BIAŁA KAWA. NALEŻY
SIĘ 10 ZŁOTYCH.



DZISIAJ WSTĘP JEST DAR-
MOWY, ALE NAPOJE NIE
WCHODZĄ W CENĘ BILETU.

SAMA PANI ROZUMIE, MUSZĘ
JAKOŚ ZAROBIĆ NA UTRZY-
MANIE TEJ INSTYTUCJI.



SKORO JUŻ O TYM...

MOŻE KUPI PANI COŚ
NA PAMIĄTKĘ? SAME
ORYGINAŁY Z CERTYFI-
KATEM AUTENTYCZNOŚCI.
NIE JAKAŚ TANDETA,
JAK W INNYCH MUZEACH.



PROSZĘ JESZCZE ZAJRZEĆ, NIE
WIDZIAŁA PANI WSZYSTKIEGO.



MUZELUM JEST OTWARTE CODZIENNIE
OD 10 DO 18. W PONIEDZIAŁKI NIECZYNNE.



GORĄCO ZAPRASZAM!

≡ TRZASK! ≡

Milowy Słup Kultury w międzyczasie



Międzyczas

Kolumna położona w międzyczasie

Międzyczas to takie miejsce - tak, miejsce - wieczne, takie jak niebo

W międzyczasie zawsze gotuje się woda i parzy herbata

W międzyczasie wszyscy głęboko śpią i zapuszczają włosy

W międzyczasie serca nie biją, krew i impulsy odbywają wieczną drogę do celu,
jak zawieszono w bezciśnieniu statki kosmiczne

W międzyczasie Lolita czyta komiksy a Humbert Humbert pije gin z sokiem ananasowym

W międzyczasie leży słup, o taki i czeka aż coś się wydarzy

W międzyczasie ktoś namalował na nim graffiti

Bo w międzyczasie nic nie spełnia swojego przeznaczenia

Tekst i fotografia Marika Lipowska.

[Nowości wydawnicze](#)



PERIODYK LIT
NR 1 (7)/ wios

23

Wydawnictwo Replika pole- ca trzy książki trzech pознаńskich autorek.

Wkrótce więcej informacji na
stronie Wielkopolskiego Widno-
kręgu na Facebooku.



[powrót do spisu treści](#)